MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 15 WARSZAWA, 5 KWIETNIA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

O ETOSIE I ETNOSIE

W POPRZEDNICH swoich artykułach, omawiających sprawy wsi i bieg ewolucyj społecznych naszego narodu, używałem stale słów etos i etnos, nie dodając do nich żadnych bliższych wyjaśnień. Wydawało mi się to zbędne, skoro nie ja te słowa wymyśliłem i nie ja je w tym sensie po raz pierwszy użyłem. Okazało się jednak, że lepiej powiedzieć zadużo niż zamało, by całkowicie usunąć możliwość nieporozumień i rozmaitych interpretacyj tych terminów, — dlatego też piszę ten artykuł, gdzie ich znaczenie szeroko tłumaczę i rozwijam. Nie jest on jednak, co odrazu muszę zaznaczyć, bynajmniej polemiką, ani też odpowiedzią na dłuższe wywody p. Staryszaka; polemikę uważam tu za nie celową, choćby dla tego jedynego względu, że ostateczne konkluzje „uwag" są całkiem niemal zgodne z mojemi, a spór o niektóre wyrazy, nieciekawy dla ogółu, nie doprowadziłby do niczego i zeszedłby na manowce szczegółów. Niewątpliwie przecież takiemi właśnie są wszystkie obszerne rozstrząsania historyczne na temat pańszczyzny czy władzy dziedzica, — nie w tem bowiem sens, że tak a tak było, ale w tem, że w danym ustroju, bez względu na złą czy dobrą jego praktykę, szlachcic miał sobie wyznaczoną rolę opiekuńczą i czy źle czy dobrze ją spełniał, zawsze jednak ją spełniał i z samego swego stanowiska był wodzem wsi i jej naturalnym przodownikiem. O tem wszystkiem więc mówić nie będę (chociaż dałoby się wiele), a tylko o etnosie, etosie i sensie złożenia — naród historyczny, co zresztą ze względu na obszerność tematu przeniosę do innego artykułu, ograniczając się narazie do sprawy etosu i etnosu, bez której wytłumaczenia nie można wyjaśniać historyczności narodu.

Jeszcze Platon, zastanawiając się nad polityką i marząc o państwie idealnem, doszedł do wniosku, że ludność jego powinna się składać z dwu części — rządzącej i rządzonej, a ściśle biorąc z trzech, skoro pierwsza dzielić się jeszcze miała na istotnych rządców i pomocników. Jest to podział nieśmiertelny, bo tkwiący w samej ludzkiej naturze i w samej istocie rzeczy. Te dwie grupy to właśnie etos i etnos, to ich pierwsze tak jasne sformułowanie, choć bez użycia tych terminów, nie wiem przez kogo w tym właśnie sensie po raz pierwszy użytych.

Wprawdzie te rozważania platońskie dotyczą państwa, ale równie dobrze mogą dotyczyć narodu. Uważam nawet, że te rzeczy się pokrywają. Właśnie dlatego państwo musi mieć swój etos i etnos, że tego wymaga struktura narodu, w którego rękach ono jest narzędziem: platońscy filozofowie to jednocześnie i twórcy kultury narodowej, skoro polityka i wiedza winny być ściśle połączone, a jego wojownicy, — ten stan im pomocny — to wykonawcy czyli w sensie dzisiejszym, właściwi rządcy, ramię państwa stanowiący.

Jeśli chodzi o naród, to podział tu jest nawet jeszcze bardziej istotny. Wprawdzie bez rządzących państwo jest nie do pomyślenia, ale ostatecznie wyobrazić sobie łatwo można czysto mechaniczny podział na te dwie grupy, bez żadnych istotnych między niemi różnic. Jest to zrozumiałe, gdy się zważy, że państwo jest przecież tylko formą życia narodowego, rzeczą w pewnym sensie martwą, ale naród, pojęcie żywe, bez istotnego etosu nie da się nawet spekulatywnie pomyśleć.

Cóż to bowiem jest etnos? — Jest to lud, „klasa pracująca" u Platona, ludzie zwyczajni, codzienni, pogrążeni w swoich zwyczajnych troskach i zwyczajnych pracach. Horyzont ich jest ciasny, — wieś, miasto, czy miasteczko to przedewszystkiem ich ojczyzna, inną zaledwie rozumieją. To ci prości ludzie, jednakowi bo szarzy, jakaś masa niekształtna, niesforny tłum, który wymaga kierowania, który sam sobie nie poradzi, który „chce, aby ludzie nie byli jednacy, by z wielkich wielką korzyść miano" (Rostworowski), ale który sam, choć jest bezsprzecznie wielką siłą, jest pod wieloma względami poprostu niczem.

Jest niczem, bo naród który ma tylko etnos, tylko sam lud mówiący odrębnym językiem, mający swój zwyczaj i poczucie swojej inszości, ale nie mający własnej inteligencji i wytwarzanej przez nią kultury, to właściwie przecież nie jest wcale naród, ale tylko grupa etniczna nieświadoma swych zadań, — mierzwa żywiąca inne prawdziwe, kulturalne narody, z pożytkiem zresztą i dla nich i dla siebie. Wprawdzie filologowie uznają mowy tych ludów za języki i białoruski stawiają naprzykład w jednej hierarchji z polskim, ale każdy wie, że socjologicznie niema tu najmniejszej paraleli, i że nie można na jednym poziomie zestawiać bezosobowego szczepu z narodem o bogatej i wielkiej kulturze. Armja bez wodza nic nie znaczy i podobnie etnos sam przez się nie tworzy narodu.

Trzeba więc przywódców: tego etosu, który choć tak dla narodu niezbędny, jest znowuż nie do pomyślenia bez swojej realnej podstawy etnosu. Musi być lud, żeby był naród i z ludu wyrasta etos, on go żywi. Żywi nietylko w sensie fizycznym, ale też i duchowym, daje mu wszystkie natchnienia i solidne oparcie w terenie. Z jego pisanek i malowanek powstaje narodowa sztuka, jego chaty przekształcają się w pałace, jego śpiewki w muzykę, — i można śmiało powiedzieć, że na swój prymitywny sposób twórczość ludu, jego strój i taniec najpełniej, najdostrzegalniej wyraża całego ducha i charakter narodu, że ona, bliska natury, może najlepiej go ukazuje, w niej charakter narodowy przedewszystkiem się odbija. Będąc blisko ziemi, lud stoi najbliżej natchnień i wielkim twórcom podsuwa tematy. Pieśń gminna jest „arką przymierza" i w niej przeważnie biorą początek wszystkie wielkie epoki literatury. Rozumiał to świetnie poeta, zapewniający małe dziecko, że to od kwiatków nauczył się „gadać".

Jest więc ścisły i wzajemny związek między temi grupami, które w sumie dopiero tworzą naród kierując nim fizycznie i duchowo. A że ostateczności się stykają, więc podobnie jak w etnosie leżą wielkie tworzywa dla myślącego etosu, tak z kolei ten filozoficzny etos, pozbawiony pierwiastka pożądliwości, tych domieszek żelaza i miedzi, jak poetycznie mówi Platon — przyczynia się wydatnie do materjalnego stanu państwa, zabezpieczając i normując warunki produkcji i troszcząc się o prawo i słuszność dla szarych ludzi.

Konieczność i oczywistość takiego stanu rzeczy nie budzi żadnych zastrzeżeń i nie ta sprawa stanowi jądro odwiecznych dyskusyj; rzeczą zawsze sporną, nie tyle w teorji co przez powikłania życia i niedoskonałość natury ludzkiej, jest sprawa, kto ma się liczyć do etosu, a kto do etnosu, jaka powinna być linja podziału?

Odżegnując się narazie od wszelkiej historji i ułatwiając sobie spekulację rousseau'owską koncepcją umowy społecznej, gdzie jakaś grupa ludzi tworząc państwo wybiera sobie swoich własnych rządców — dojdziemy do łatwego wniosku, że w samym początku narodowego bytu etnos i etos nie wiele się różnią od siebie. Obserwować zresztą to możemy i na rzeczywistych przykładach, u młodych narodów, niedawno rozbudzonych, których inteligencja obyczajem swoim i stylem twórczości niewiele odbiega od ludu, stanowiąc dosłownie jego nadbudowę. Krew pańska narasta z wiekami i z nią dopiero po wiekach następuje wyraźne skrystalizowanie etosu.

Wracając jednak do linji podziału, leży w porządku zjawisk, że powołane do życia, choćby jakimś aktem regulującym „raz na zawsze" stosunki, mają własny sens rozwoju, którego nawet najbardziej autorytatywny papier zatrzymać nie jest w stanie i idą swoją drogą. Ta ich dynamika wytwarza potrzebne instytucje, jako coś trwałego w swojej bezustannej zmienności, dostosowującej się do wciąż nowego „ducha czasu". Instytucje te nie są wprawdzie ani najlepsze, ani doskonałe, ale są możliwie najlepsze i możliwie najdoskonalsze, co oczywiście jest bez porównania ważniejsze, gdy się żyje w realnym świecie, a nie w utopji.

Gdy więc chodzi o etos w stosunku do etnosu — to jasno widać, że czas nie tyle może powiększa różnicę między niemi, ile ją utrwala i umacnia. Jeśli bowiem — obracając się wciąż w granicach teorji — po platońsku zorganizowano etos i na czoło wysunięto kryterjum wartości człowieka (jedynie słuszne), to nie znaczy to wcale, żeby trzy grupy ludności wymieniały w myśl tego kryterjum bezustannie swoich ludzi. Oczywiście, że tak jest i że to kryterjum obowiązuje, ale samą siłą rzeczy awans z jednej grupy do drugiej staje się wyjątkiem, a dziedziczenie regułą. Jasną jest rzeczą, że inteligentem łatwiej zostać synowi inteligenta niż synowi chłopa. Nawet przy nieco niższych zdolnościach i bez żadnych prawnych „forów" ma on już wielką przewagę za sobą, w samem własnem środowisku — co bynajmniej złe nie jest.

Wystarczy zastanowić się nad tem, że wysiłek ludzki na marne nie idzie i praca rodziców jest przeznaczona dla dzieci. Dom należący do etosu, pełny książek i żyjący w atmosferze choćby tylko snobizowania się kulturą — inaczej kształci ducha, niż najszacowniejsza i najcnotliwsza chata. Ktoś, kto od dziecka styka się ze sprawami kultury, jest jakby predestynowany na kontynuatora prac rodzicielskich — stare portrety przodków na ścianach mają swoją pedagogiczną wymowę. I uznać też trzeba, że jednak dziedziczność bajką nie jest i potomkowie twórców kultury bardziej się naogół na jej dalszych budowniczych nadają i łatwiej mogą zrozumieć jej sens i styl niż ludzie nowi, mający we krwi całkiem inne, a jeszcze świeże tradycje.

Ma więc krew pańska niewątpliwy walor, jak wogóle wszystko co życie normalnie wytworzyło i co istnieje, bo istnieć zawsze będzie i musi. Panowie muszą być zawsze, a wiadomo, że pan z panów jest zwykle lepszy od dorobkiewicza i że najgorsi są wyzwoleni niewolnicy. Przewracanie do góry nogami drabiny społecznej, może dać tylko korzyści jednostkom, ale nigdy ogółowi i ma rację Rostworowski, gdy rewolucję — wszelki bunt dołu, uważa tylko za akt rozpaczy ze strony tych, którzy chcą być prowadzeni. Powinna więc być krew pańska u góry i tam jest jej miejsce cokolwiek by się nie pisało. Mówi się dużo o degeneracji, ale ona jest wszędzie możliwa i mam głębokie przekonanie, że typy nienormalne stanowią we wszystkich warstwach podobny odsetek, może nawet ich więcej u dołu, zwłaszcza w mieście wśród proletarjatu — nie tego się więc bać należy. Etosowi grozi właści-

wie nie fizyczna, ale moralna degeneracja, to jest chęć zatrzymania przywileju władzy, jej korzyści, a wyzbycia się trudów i obowiązków. Ta pokusa rzeczywiście jest częsta i ludy zawsze na nią szukały lekarstw.

Najlepszem, a prawdę rzekłszy i jedynem jest łatwość odświeżenia tej warstwy, jej pewne otwarcie, umożliwiające usuwanie niegodnych w dół, awansowanie zaś czołowych ludzi z masy. Ważniejsze przytem o wiele jest to drugie, bo dopuszczając nowych, już oczyszcza się atmosferę i usuwa cieplarniane poczucie bezpieczeństwa u warstwy górnej. Jednak to otwarcie granicy etnosu i etosu, nie może być doprowadzone do absurdu i nie powinno tu być zupełnego rozgrodzenia. Takie rozgrodzenie i gwałtowne mieszanie tych grup jest objawem ciężkiej społecznej choroby, szkodliwej zarówno dla góry, jak i dołu. Złota miara winna być zachowana i element nowy nie powinien przekraczać pewnych proporcyj. Jest to konieczne z tego prostego względu, że wierutną bajką jest asymilacja niższych przez wyższych. Asymilacja jest procesem przystosowywania się, a więc pójścia po linji najmniejszego oporu, raczej więc niżsi przyciągają ku sobie wyższych — brud przylega i dużo wygodniej jest się zaniedbać i opuścić niż podciągać pod wyższy poziom. To też asymilacja w sensie dodatnim może mieć miejsce tylko przy zupełnem osamotnieniu jednostki niższej, tylko wtedy bowiem decyduje się ona zadać sobie gwałt i drogą wysiłku dopasować do otoczenia. Gdy więc etos jest zanadto odświeżany i jakby najechany przez elementy z etnosu, to nie może tu być mowy o żadnej asymilacji, ci nowi wprawdzie podciągają się w górę, ale równocześnie obniżają poziom drugich i w rezultacie mamy ogólne obniżenie się poziomu — to schamienie, które tak słusznie podniósł K. M. Morawski. Odświeżanie jest jednak konieczne i w dobrze zorganizowanem społeczeństwie są czynniki samorzutnie działające w tym kierunku, — biorąc rzeczy wciąż trochę symplistycznie i chcąc nazwać te czynniki jednem słowem, widzimy, że taką właśnie organizacją dopływu jest miasto.

Tylko w utopji bowiem troska o dobra materjalne może być wyraźnie oddzielona od troski o dobra duchowe, w rzeczywistości w każdem społeczeństwie jest spora grupa ludzi troszczących się zarówno o jedne jak i drugie. Wielki kupiec czy przemysłowiec nie może już być zwyczajnym zjadaczem chleba, skomplikowane sprawy jego kantoru czy przedsiębiorstwa pchają go do polityki i wymagają od niego dużej wiedzy. Łatwość zbierania się i kształcenia jaką daje miasto, też sprzyja rozwojowi wyższych zainteresowań i budzi wyższe ambicje. Wreszcie dobrobyt z natury rzeczy pcha wyżej — do kultury i do jej spraw, słowem do etosu. W ten sposób miasto stanowi jakby olbrzymie zbiorowisko kandydatów do niego i ono przedewszystkiem uzupełnia etos, samo zasilając się stałym dopływem z etnosu, skąd do niego ciągną rzesze po zarobek i swoisty awans społeczny. Miasto więc jako wielkie stadjum przejściowe — to jest w pewnym sensie najważniejsza rzecz w organizmie każdego narodu, bo dająca mu zdrowie.

Dźwiga ono wieś (*Stadtluft macht frei*) i samo się dźwiga z nią ku górze. Jak idą takie procesy niech świadczy genealogja Goethego. Oto pradziad jego był gdzieś w Wirtembergji kowalem, dziad krawcem we Frankfurcie i posiadaczem niezłej fortuny, ojciec już radcą cesarskim i patrycjuszem, a sam Goethe, prawnuk owego wiejskiego kowala, największym poetą niemieckim i „w cywilu" ministrem weimarskim i szlachcicem. Oto normalna, stopniowa ewolucja, ale mogą być oczywiście i gwałtowniejsze i genjusz z dołu zawsze winien mieć możność przedarcia się do góry.

W świetle tego, co napisałem, jasno widać nieszczęście narodu polskiego i powody jego choroby. Oto żydzi obsiedli miasta i w ten sposób zatruli źródła narodowej siły, stanęli między etnosem i etosem i sami postanowili go zasilać. Zdobycie miast to była nietylko droga do gospodarczego wyzysku narodu, ale i do opanowania jego mózgu. Dziś etos polski zawodzi, bo rozłożyli go i jeszcze rozkładają żydzi; niema w Polsce zła społecznego, do którego oni nie przykładali ręki— i niema Polski zdrowej dopóki są w niej żydzi.

Abstrahując jednak od tej kwestji i patrząc na rzeczy pod kątem widzenia Polski przyszłej, narodowej, dojść trzeba do wniosku, że sprawa etosu musi być w niej inaczej niż dzisiaj rozstrzygnięta, musi być sprawą nietylko faktu, ale i prawa. Dzisiejsze bowiem uregulowanie tej sprawy jest z gruntu niewłaściwe. Teza o równości wszystkich ludzi, w którą już dzisiaj chyba nikt nie wierzy, okazała się wierutną bajką i wpędziła wraz z całą swoją, bujającą w obłokach ideogją, narody naszej cywilizacji w ciężką chorobę. Jedynem słusznem unormowaniem jest system stanowy—ustawa nie może przeczyć życiu i twierdzić, że czegoś niema, gdy coś istnieje, takie kłamstwo ani prawu, ani ludziom na dobre nie wychodzi. Trzeba więc oprzeć się na stanowości, przyczem oczywiście nie chodzi mi o mechaniczne nawracanie do zmurszałych form, ale o nawrót do ducha tego ustroju, sankcjonującego rzeczywistość i wpływającego na nią. Należy też pamiętać, że stany to nie kasty i, że one już w samem swojem założeniu muszą być otwarte, bo na tem opiera się ich zasada — grupowanie podobnych swą funkcją społeczną, by dać im między sobą równe prawo. Nie przeczą więc stany ani równości, ani sprawiedliwości — ale przeczy jej bezstanowy ustrój demokratyczny, na jednym poziomie prawnym stawiając uczonego i analfabetę i wszystkim porówno dając szczytną nazwę obywateli. Ta równość demokratyczna przez swój statyzm (wszyscy zawsze są równi) bardziej przypomina kasty, równie statyczne i jak ona raz na zawsze urządzone, tylko na wręcz odwrotnych zasadach. Są one zresztą o wiele jednak słuszniejsze, bo wyrażają myśl zasadniczo dobrą, choć w zły sposób.

Reasumując więc wszystko i kończąc te długie rozważania trzeba dojść do wniosku, że skoro etos i etnos istnieją jako kategorje stałe i dla bytu narodu niezbędne, należy dać narodowemu państwu taki ustrój, by ich pełny rozwój był możliwy. Trzeba więc, sięgając do samych źródeł sprawiedliwości, uszanować wszelką różność i budować przyszłą Polskę jako państwo — w ten czy inny sposób — stanowe.

KAROL STEFAN FRYCZ

PIERWSZY PROCES TALMUDU

II

W MYŚL dyspozycyj papieskich w sobotni ranek 3 marca 1240 roku we wszystkich synagogach i bóżnicach na ziemiach, podległych berłu św. Ludwika, zjawili się oficerowie królewscy i, legitymując się rozkazem swego monarchy, dokonali zajęcia żydowskich ksiąg liturgicznych. Księgi przesłano następnie do Paryża, gdzie specjalna komisja śledcza, złożona z najwybitniejszych przedstawicieli kościoła francuskiego, przystąpiła niezwłocznie do zbadania ich treści.

Na czele komisji stanął biskup Paryża, Wilhelm z Owernji, jeden z najbliższych doradców króla, mąż cnót wielkich, znany ze swej gorącej wiary i wiedzy, talentów organizacyjnych i zdolności dyplomatycznych, niejednokrotnie już przez Stolicę Apostolską trudnemi i delikatnemi misjami obarczany, członkami zaś byli: Walter (Gautier) arcybiskup z Sens, ówczesny Prymas Królestwa, biskup z Senlis, regens paryskiej Wszechnicy, dominikanin Geofroy Blavello, późniejszy kapelan papieża Inocentego IV, wreszcie Odon z Chateauroux. Za podstawę dochodzenia komisja przyjęła, powtórzone w listach papieża do Wilhelma i Odona Doninowe oskarżenie, 35 jego punktów dzieląc na pięć grup następujących:

1. Błędy. (*Errores*).
2. Bluźnierstwa przeciw człowiekowi. (*Blasphemiae in hominem*).
3. Bluźnierstwa przeciw Bogu. (*Blasphemiae in Deum*).
4. Bluźnierstwa przeciw Jezusowi i Jego Matce. (*Blasphemiae in Jesum atque eius Matrem*).
5. Głupstwa. (*Stultitiae*).

Dochodzenie miało za zadanie wyjaśnić, czy podniesione zarzuty stanowią istotnie część wierzeń religijnych żydów. Badania zajętych ksiąg wykazały, iż znajdują się w nich inkryminowane ustępy, natomiast wezwani przed komisję przedstawiciele ludności żydowskiej oświadczyli, że ustępy te posiadają w swej istocie zupełnie inny, przeciwny wskazanemu przez Donina, sens [1]).

W połowie czerwca komisja ukończyła dochodzenie, wyznaczając na dzień 25 tegoż miesiąca publiczny proces przeciw Talmudowi. Rolę oskarżyciela objął Mikołaj Donin, obronę zaś wnosić mieli czterej najwybitniejsi rabini francuscy ze szkoły Tossafistów: Jehiel z Paryża, Jehuda ben Dawid z Melun, Samuel ben Salomon z Château-Thierry i Mojżesz z Coucy. Historja zachowała nam przebieg tego procesu w dwu relacjach: chrześcijańskiej i żydowskiej [2]), dając możność wiernego odtworzenia tego niezwykłego ze względu na epokę, ludzi biorących w nim udział, poruszone problemy i na osiągnięte skutki—dziejowego zdarzenia.

Przenieśmy się zatem myślą w czasy tak odległe, wmieszajmy oczyma wyobraźni w barwny, przejęty tłum, szczelnie wypełniający w dniu 25 czerwca 1240 roku wielką salę w pałacu na *Ile de la Cité*, gdzie zwykł był swe słynne roki sądowe odprawiać święty król. Ujrzymy tam całą Francję. Na miejscu naczelnem królowa-matka, regentka królestwa Blanka Kastylijska, urodą swą—zachwyt, mądrością—podziw, wiarą gorącą—cześć, dobrocią miłość w sercach swych poddanych wzbudzająca, u jej stóp młody król — wschodzące słońce na firmamencie średniowiecznego rycerstwa, a wokół nich najwybitniejsi dygnitarze duchowni i świeccy, opaci paryskich i prowincjonalnych klasztorów, damy dworu królowej, doktorzy, magistrzy i bakałarze Wszechnicy, rycerstwo, mnisi i księża, klerycy i scholarze, mieszczki i mieszczanie. Wszyscy z ciekawością spoglądają na cztery, potężne w rozmiarach, białe *volumina* pokryte dziwacznego kształtu pismem i na ruchliwą obok nich postać mnicha w dominikańskim habicie. Bliżej stojący, a bardziej ciekawi, wnet się, z jego ust dowiedzą i sąsiadom lękliwym powtórzą szeptem, że w tych oto białych foljałach spisane są najokropniejsze bezeceństwa, najstraszliwsze przeciw świętej wierze katolickiej obelgi i bluźnierstwa. Wnet się jednak wzrok wszystkich z czterech martwych białych ksiąg przeniesie na ich czterech żywych obrońców, czterech rabinów, wkraczających, jak chce hebrajska relacja „w smutku i niepokoju do pałacu króla niewiernego, podczas gdy lud żydowski pierzchał na wsze strony, jak stado bez pasterza [3]).

Na pierwszy ogień pójdzie chluba ówczesnego zachodniego rabinizmu, w licznych dysputach z chrześcijanami do walki słownej zaprawiony, łaciną biegle władający, Jehiel [4]) z Paryża, głowa tamtejszej talmudycznej akademji. (*Et primum introductus est secundum eos peritissimus et per totum famosissimus judaismum nomine Vivo Meldensis*) [5]). Stanąwszy przed komisją, zarzuci jej z miejsca niekompetencję, powołując się na konstytucje papieskie, gwarantujące żydom wyraźnie wolność i niezależność w urządzaniu swych wewnętrznych stosunków, do nich zaś należy wedle niego możność swobodnego korzystania z Talmudu, księgi dla żydów niezbędnej, nad własne życie im droższej [6]). Na co krótką otrzyma odpowiedź, iż sprawa jest wszczęta właśnie na rozkaz papieski. Poczem Mikołaj Donin zażąda od niego złożenia przysięgi, że na stawiane mu pytania od-

---

[1]) Lewin op. c. 146—147.

[2]) Pierwsza—łacińska spisana na polecenie Odona z Chateauroux p. t. „*Excerptationes de Talmut*", druk. częściowo przez Quetif i Ekhard. „*Scriptores ordini praedicatorum*. Ekhard. *Suma St. Thomae suo auctori vindicata*, Paryż 1708. Loeb Iz. w R. E. J. II s. 253 — 270, III s. 39—57, daje dwa z niej rozdz. „*De articlis Litterarum Pape* i *Confessio facta in iudicio*". Por. Kisch *op. c.* Druga—hebrajska, której autorem był prawdopodobnie współczesny Jehielowi Natan Oficjał druk. po raz pierwszy wraz z tłumacz. łac. przez Wagenseila w „*Tela Ignea Satanae*", Altdorf 1681, z niekompletnego mskr. Bibl. Strasburskiej (zniszczonego podczas bombardowania miasta przez Prusaków w r. 1870), w roku 1873 wydaje ją drukiem z mskr. pełnego paryskiej Bibl. N. w Toruniu S. Grünbaum p. t. „*Wikkuach Rabbenu Yehiel mi—Paris* w 1928 w N. Yorku, Eisenstein w *Ozar ha — Wikkuchim*", w 1929 Margulies we Lwowie.

[3]) Noël Valois *l. c.* 126.

[4]) Znany też pod łac. im. „*Vivo Meldensis*" i francus. Sire Vives, pisze o sobie: „Jeśli inni przewyższali mnie zasobem wiedzy, to ja miałem nad nimi tę przewagę, że bardziej byłem przyzwyczajony do obcowania z duchowieństwem". E. J. VIII. 905.

[5]) Exc. de T. p. Loeb I *op. c.* III. 55.

[6]) Gratz *l. c.* IV 197... „„*Se référant à la Constitution des Papes qui garantissait aux Juifs toute liberté dans leurs affaires intérieurs, et faisant observer que le Talmud était pour eux un livre absolument indispensable, plus précieux que leur vie même, Yehiel refusa d'abord de prendre part à la controverse*".

powiadać będzie wedle najlepszej wiary sumienia, a przed bardziej drażliwemi nie będzie się usiłował ratować wybiegami. Lecz *„predictus magister Vivo nullo modo voluit jurare"*[7]), tłumacząc kolejno, a w miarę nacisku przeciwnika, że nigdy w życiu nie przysięgał, że nie chce wzywać imienia Boskiego nadaremno, że wreszcie gdyby zaprzysiągł, to mógłby go później wedle swej woli włóczyć po sądach Donin pod zarzutem krzywoprzysięstwa. Ten upór zawzięty zmiękczy dobre serce królowej i na jej życzenie Jehiel od przysięgi zwolniony zostanie. Poczem rozpocznie się właściwy, trzy dni trwający, przewód sądowy. Kierować nim będzie Donin, rozwijając cały zasób swej niewątpliwej wiedzy talmudycznej[8]). Przejdzie on szczegółowo i dokładnie 35 punktów oskarżenia, rozszerzając je znacznie, uzupełniając nowemi szczegółami i przykładami, cytatami z Talmudu i zdaniami późniejszych jego komentatorów. Jehiel zaś bronić będzie swej świętej księgi metodą u autorów żydowskich dziś jeszcze uznanie i zachwyt wzbudzającą, a która wśród współwyznawców okryje go blaskiem chwały, do imienia przydomek „świętego" dorzucając[9]).

Metoda ta, prosta w założeniu, trudna i niewdzięczną była w wykonaniu. Nie mógł przecież r. Jehiel zaprzeczyć materjalnej prawdziwości, okazywanych mu do oczu, tekstów Talmudu, ani jako wierny Tossafista, bezkrytycznie przyjmujący całą jego treść (t. j. Hagadę i Hallachę) pożyczać argumentów od znienawidzonych i heretyckich racjonalistów z pod znaku Majmonidesa, ni wreszcie w proroczej wizji przewidzieć i użyć tych, które dlań po sześciu z górą wiekach skrzętnie wyszukiwać będą jego następcy i współwyznwcy, zgrupowani koło paryskiej *„Societé des Etudes Juives"*, lub wrocławskiego *„Jüdisch theologischer Verein"*[10]). Ratować się więc musiał jedynie możliwą bronią, t. j. wykrętem i wybiegiem, usiłując im nadać zręcznie i wymownie wszelkie pozory słusznego rozumowania[11]). Tak na poparte odpowiedniemi cytatami pytanie Donina, czy Talmud rzeczywiście zawiera bluźnierstwa przeciw Jezusowi, odpowie Jehiel, że wprawdzie cytaty są prawdziwe, ale Jezus, o którym w nich mowa, nie jest Jezusem przez chrześcijan za syna Bożego uważanym, lecz innym zupełnie osobnikiem tego samego imienia, żyjącym za czasów Cezara Tytusa i z racji swego niemoralnego życia słusznie na śmierć skazanym. (*Dixit quod Jhesus Noceri est Jhesus Nazarenus, filius Myriam, qui fuit suspensus in vespere Pasche, et de illo confessus est quod fuit de adulterio natus et quod punitur in inferno in stercore ferventi et quod fuit in tempore Titi. Dicit tamen quod alius fuit a nostro Jhesu*[12]). Przyczem z takiem pytaniem do sędziów swych się zwróci:

„Azali złoczyńca, co przypadkowo imię nosi Ludwika, nie powinien być stracony, bo imię to nasz król nosi, i mógłby być z nim później pomieszanym"[13]).

Przyzna dalej istnienie ustępu, odnoszącego się w interpretacji Donina do Matki Bożej, ale i wyjaśni, że wymieniona w nim niewiasta Myrjam nie jest przez żydów za Chrystusową rodzicielkę uważana. Zarzut zaś dotyczący przepisów o postępowaniu wobec chrześcijan (najlepszy z chrześcijan — zabij go, i inne) odeprze twierdzeniem, że użyte w tekście słowo „goj" odnosi się do pogan, a przez słowo „minim" rozumieć należy żydowskich odstępców od wiary, nie zaś, jak chce Donin, wyznawców rzymsko-katolickiej religji, przyczem, przytoczywszy inne przepisy Talmudu, nakazujące szlachetne wobec bliźnich postępowanie, tak mówić będzie:

„Ty wiesz dobrze, jak bardzo prawom naszym oddani jesteśmy, jak wielu spośród nas za wiarę pomordowanych i potopionych, spalonych i powieszonych zostało, a przecież utrzymujemy z chrześcijanami te stosunki, których nam z „gojami" mieć zakazano".—Mówi Talmud: — „Na trzy dni przed ldami gojów przerwanym będzie wszelki obrót z nimi a ty idź tylko na ulicę Żydowską (*Judengasse*), a wnet się przekonasz, że nawet w dniach świąt chrześcijańskich zawierają żydzi z chrześcijanami interesy. Handlujemy z nimi, niemowlęta nasze powierzamy opiece chrześcijańskich mamek, a księży chrześcijańskich, z których wielu biegle włada hebrajską mową, wtajemniczamy w znaczenie Tory"[14]).

Gdy zaś Donin sięgnie po oskarżenie z innej dziedziny i jako przykład niemoralności i głupstw zawartych w Talmudzie, zacytuje ten z jego przepisów, który na śmierć skazuje osobnika, ofiarującego Molochowi część swego potomstwa, ale nie karze tego, kto pogańskiemu bożkowi złoży w ofierze wszystkie swe dzieci, wyjaśni Jehiel, że w drugim przypadku grzech jest tak wielki, iż niema dlań możliwej kary ludzkiej, że zatem sprawcę jego zostawia Talmud zemście Pana Zastępów.

Tak oto przez dwa dni z rzędu trwać będzie owa walka słowna nad tekstami, z białych pergaminowych zwojów wyłuskiwanemi, nad ich istotnym sensem i znaczeniem. Po przytoczeniu każdego z odkrytych przezeń bluźnierstw, zwracać się będzie Donin do obojga królestwa, dostojników i zgromadzonych ze słowami: „patrzcie, jak lud ten urąga waszemu Bogu, jakżeż możecie dozwalać mu żyć wśród was?"[15])

W słowach tych i w fakcie, że Donin przy bardziej drastycznych cytatach porzucać będzie łacinę i hebrajski, zastępując je najszerszemu pospólstwu znanym francuskim, dostrzegą późniejsi żydowscy historycy dowód, że oskarżyciel Talmudu oskarżenie swe czerpał nie z gorącej wiary neofity, lecz raczej z pasji i nienawiści do swych byłych współplemieńców, załatwiając z nimi własne wewnętrzne porachunki. Sąd może i słuszny, jeśli się zważy, że Donin przed przyjęciem chrztu był jednym z wybitniejszych majmonistów i że za swą krytykę Talmudu został przez ortodoksyjnych rabinów klątwą obłożony i ze społeczności prawowiernych żydów precz

[7]) *„Confessio facta in iudicio"*, Loeb I *op. c.* I. 250.

[8]) Kisch *op. c.* 14—15, 129. Por. Loeb *op. c.* I. 250.

[9]) Zadoc Kahn, *„Le livre de Joseph le Zélateur"* R. E. J. III. 4.

[10]) P. część ostatnią niniejszej pracy.

[11]) Lewin tak to ujmuje *op. c.* 150. *„Am rechten Orte bald trotzig, bald bescheiden, verliert er trotz aller Abschweisungen den Hauptzweck fast nie aus den Augen, die Anklage, sei es durch Hinweise auf die Bibel, durch rationelle Erklärungen, oder durch Verdächtigung und Beschemung des Anklägers zu entkräften"*.

[12]) *„Confes. facta in iud."* R. E. J. t. III s. 55. Por. Kisch op. 158.

[13]) Kisch. *op. c.* 156. Aut. tamże tak ten i inne argumenty ocenia: *„Es war dies kein jesuitisch, selbstubelügendes Aushilfsmittelchen, es war dies die volle Überzeugung Jechiels, und in der Tossafistenschule, der er vorstand muss er es früher schon so gelehrt haben"*.

[14]) Dubnow *l. c. v.* 43.

[15]) Noël Valois *l. c.* 129.

i na wieki wyobcowany. Przykładem zaś używania instancyj chrześcijańskich do likwidowania wewnętrznych zatargów i porachunków żydowskich mogli mu być zarówno ci ortodoksi z rab. Salomonem z Montpellier, co nie zawahali się zadenuncjować przed trybunałem inkwizycyjnym „Przewodnika Zbłąkanych” *(More Nebuchim)* Majmuniego, przysięgą potwierdzając, że zawierają się w nim heretyckie z punktu widzenia Kościoła sądy, jak i ci majmoniści z braćmi Bahielami i z Salomonem Ibn-Alconstantinim na czele, co wykorzystując swe stosunki na dworze króla Jayma I Aragońskiego, pociągnęli latem 1234 r. owych denuncjantów przed sąd królewski o krzywoprzysięstwo, doprowadzili do skazującego wyroku, gdy zaś dłonią kata ucięto języki kilkunastu ich współplemiennym przeciwnikom, uczcili ten krwawy fakt radosnym epigramatem, co wnet z ust do ust majmonistów przebiegać począł:

Przeciw Przewodnikowi na drodze do prawdy
Podniosła banda kłamców głos
Kara ich dosięgnęła
Języki ich zwróciły się przeciw niebu,
A teraz leżą w prochu.[16])

Jakiemikolwiek były uczucia w dominikańskim habitem okrytej piersi Donina, przyznać mu trzeba, że w rolę oskarżyciela kładł cały swój zapał, wiedzę i energję, tak samo, jak i jego przeciwnik w tym obcym pałacu i przed wspaniałym tłumem samotnie a rozpaczliwie usiłujący ratować „duszę swego narodu”, podczas gdy reszta jego współbraci z paryskiej gminy zamknięta w swych domach modlitwy, przez cały czas procesu obserwując post ścisły, modliła się żarliwie, by Pan Izraela odwrócić raczył grożące wybranemu ludowi niebezpieczeństwo.

Wytrwale i z niesłabnącem zainteresowaniem asystować będzie dyspucie dostojne i wspaniałe zgromadzenie z królową na czele, bacznie się przysłuchując Jehielowym wywodom, szczerze do serca biorąc Doninowe oskarżenia.

Gdy tenże zacytuje owe wszystkie „głupstwa niesłychane” (*stultitiae inauditae*) o Bogu, co się Talmudu uczy, lub conoc przeklina, co z rabinami dysputuje, a z Lewiatanem się bawi, owe „*intricabiles fabulae*” o Gogu i Magogu, o cudownym ptaku Bar Jochni i innych podobnych wiele, ogromna wesołość falą niepowstrzymanego śmiechu porwie świecką część zgromadzenia. Śmiech ten ustawać będzie, ilekroć oskarżyciel wspomni lub powróci do bluźnierstw przeciw Bogu i Chrystusowi, gdy zaś odczyta zdania Talmudu, odnoszące się do Matki Bożej, istna burza wybuchnie wśród rycerstwa, szczególnie gorejącem sercem miłującego Najświętszą Pannę.

Będzie to jednak jedynie naturalna reakcja na usłyszane słowa. W tem dostojnem bowiem zgromadzeniu nie żywił nikt do żydów specjalnej urazy czy nienawiści. Przeciwnie, relacja hebrajska zachowała nam pytanie jednego z wysokich dostojników z otoczenia królowej, zwrócone do obrońcy Talmudu: „Któż myśli Jehielu o tem, by żydom źle czynić?” A na odpowiedź tegoż: „Wy nie będziecie w stanie ratować nas przed wzburzonym ludem”, oświadczy Blanka Kastylijska, że intencją jej jest właśnie bronić żydów i ich mienia, karząc śmiercią każdy gwałt na nich.[17])

[16]) Graetz. „*Geschichte der Juden VII Band. Zweite verbesserte Auflage*“. Leipzig, s. 62. Por. Dubnow l. c. V. 114.
[17]) Noël Valois *l. c.* 127.

W oczach tego arcychrześcijańskiego króla i jego mądrej a pobożnej matki byli przecież żydzi jedynie ofiarami błędnej doktryny, dziećmi zbłąkanemi, które powrócić będą mogły na łono prawowitego Kościoła, gdy padną formalne więzy Talmudu, krępujące swobodę ich myśli, uczuć i czynów.

Mniemanie takie zdawał się potwierdzać przebieg procesu, uwypuklając i podkreślając wagę Doninowych oskarżeń. Obrona Jehiela nie umiała niemi zachwiać, o tem zaś, jakie wrażenie u obecnych wywoływały jego kunsztowne argumenty, świadczą najlepiej dwie uwagi, które, spisujący zeznania mnich na marginesie manuskryptu umieścił. Tak po cytowanej wyżej odpowiedzi na zarzut bluźnierstwa *in Jesum atque eius Matrem*, czytamy co następuje: „lecz nie umiał powiedzieć kim był ten (drugi Jezus) z czego dostatecznie wynika, że skłamał[18])“, („*sed uesciebat dicere quis ille fuisset, unde satis patet quod menciebatur*“. A po oświadczeniu Jehiela, że słowo „goj” odnosi się do pogan, a nie do chrześcijan[19]) dodaje *scriptor* krótko, a wymownie: „*credat ei qui voluerit, mentitus est*“.

Trzeciego dnia Jehiel ustąpił miejsca r. Judaszowi ben Dawidowi z Melun, który przez pierwsze dwa dni wraz z pozostałymi dwoma towarzyszami izolowany był, na osobności, by się z Jehielem porozumieć nie mógł i by nie wiedział, jak i co poprzednik jego zeznał. Badania drugiego obrońcy dzień tylko trwały, przyczem okazało się, że odpowiedzi jego zgodne są w treści z zeznaniami Jehiela. Wobec czego komisja uznała badanie dwu pozostałych rabinów za zbędne, a materjał zebrany w ciągu trzech dni za dostateczny do osądzenia Talmudu.

Tak się dokonał pierwszy etap historycznego zdarzenia, którego znaczenie dla chrześcijańskiego świata temi słowy oceniał autor, ku przestrodze i nauce potomnych, spisywanej relacji:

„Trzeba przedewszystkiem wiedzieć, że dzięki tajemnemu zrządzeniu opatrzności, błędy, bluźnierstwa i zniewagi, zawarte w Talmudzie, ukrywały się aż do owego dnia przed oczami doktorów Kościoła. Lecz mur jest wreszcie przerwany, dzień się uczynił i ujrzano owe gadziny i bałwany obrzydliwe, które czci dom Izraela”.

Relacja hebrajska zaś, poświęciwszy Doninowi kilka następujących zdań:

„Podniósł się ku nam czerw i skruszył nas, jak brona najeżona ostremi szpicami. Zgrzytał zębami, błyskał okiem, głos jego naśladował świst węża, a język przebijał nawskroś jak miecz[20]),

z rasową, narodom wschodu właściwą przesadą w formie, tak to ujmuje:

„O dniu fatalny, straszny, klęski i hańby pełny. Gniew i okrucieństwo rozpostarły się nad ziemią, słychać, jak wznosi się wrzawa potężna, a ciemności niosąc w sobie strach i zgrozę opanowały armje niebieskie. Słońce i księżyc zaciemniają się, nieba są wstrząśnięte, gwiazdy się ukrywają, lwy ogromne ryczą, wszystkie oblicza blendą z wrażenia i gniewu, olbrzymy z zamierzchłych czasów powołane są na nowo do życia, świat cały jest w żałobie” [21]).

(C. d. n.) ANDRZEJ SZUMOWSKI

[18]) *Confess facta in iud.*
[19]) *Item dixit quod est scriptum in Talmud quod gentes que non steterunt super montem Syna nec receperunt legem, pollute sunt illa immundicia quam serpens proiecit in Evam quando coiit cum eam et de talibus dicit Talmut quod sunt bestie dimittende cum ipsis, quia magis amabiles sunt bestie Izrael eis quam proprie uxores; tamen magister Vivo dicit quod non intellegit hoc de Xpistianis.* Tamże.
[20]) „*Exc. de T. Prologus in secundam partem*“, p. Noël Valois *l. c.* 118.
[21]) Noël Valois *l. c.* 119, 121.

IDEAŁ HISTORYCZNY NOWEJ CYWILIZACJI

II

DOŚWIADCZENIE czasów nowych to odkrycie narodu jako osobowości duchowej najwyższej w porządku doczesnym. W tem już zawiera się w postaci utajonej ideał historyczny o wszystkich, wymienionych przez Maritaina cechach.

To bowiem, co się funduje na narodzie, to opiera się o prawo przyrodzone. Ideał historyczny oparty o naród jest prosty, jak proste są rzeczy naturalne. I dlatego może tłumaczenie tych spraw to rzecz kłopotliwa. Naród nie jest prostem zbiorowiskiem ludzi, jest bytem w stosunku do jednostki wyższym nietylko dlatego, że reprezentuje wspólnotę interesów i dążeń, ale dlatego przedewszystkiem, że jest o s o b ą wyższego porządku, mającą, tak jak i człowiek, sferę duchową i materjalną. Naród istotą swą sięga w sferę ponadmaterjalną. Jest osobowością stworzoną, czynnikiem sprawczym i celowym jest w nim idea ładu, bytująca w świecie ponad materjalnym. Misją narodu jest realizowanie tej idei ładu naprzód w porządku swych konkretów, a powtóre przez organizację wewnętrzną jednostek, które wyraża się w *habitus* narodowym. Dzięki też owej idei ładu naród wznosi się ku sferze „spraw wiecznych", tych właśnie, które są przedmiotem religji — jest przeto z religją z natury swej związany i wśród kręgów składających się na *habitus* narodowy zawiera się na naczelnem miejscu krąg religji.

Naród jest osobą wyższego porządku, niż człowiek, dlatego, że dąży do zaprowadzenia takiego ładu powszechnego, któryby zapewnił jednostce *maximum* możliwości do osiągnięcia jej wiecznych celów. Ażeby należycie pojąć to, co tu chciałem wyrazić, trzeba przyjąć taki system rzeczywistości, wedle którego na rzeczywistość narodową składają się — idea narodu jako idea ładu (dla katolika będzie to myśl Boża o ładzie Bożym), sfera przyrodzona narodu i *habitus* narodowy — organizacja wewnętrzna człowieka, oparta o system zewnętrznej w stosunku do niego organizacji konkretnej rzeczywistości narodowej, uporządkowanej w myśl owej rządzącej idei narodu. Sfera przyrodzona i *habitus* narodowy to realizacje idei narodu w porządkach materjalnym i psychicznym.

To jest odkrycie czasów nowych, którego nie wolno nie dostrzegać. Naród katolicki realizuje, jak sądzę, w zakresie swej społeczności ideał historyczny o który chodzi. Spełnia on podane przez Maritain'a warunki — jest organiczną jednością historyczną, cywilizacja jego jest funkcją w stosunku do celów człowieka, jest skierowany celowo ku sprawom ponad-doczesnym.

Wystarczy zastosować terminologję religijną, ideję ładu nazwać ideą ładu Bożego, a okaże się, że naród realizuje nawewnątrz swej społeczności ład Boży, ów właśnie porządek chrześcijański i to w dwu płaszczyznach — w organizacji społecznej i w organizacji psychicznej jednostki. Rozmaitość narodów prowadzi do pluralizmu, o którym słusznie wspomniał Maritain na wstępie. Ale jest to pluralizm powierzchowny, nie istotny. Skoro czynnikiem rządzącym jest w każdym narodzie pewna idea ładu, różna od innych, bo ukazująca jeden z nieskończoności możliwych aspektów tej niewyczerpalnej idei, zatem między narodami panuje jedność oparta o tę samą tomistyczną zasadę analogji, o której wspomina Maritain. Ideje narodów bowiem, rządzące narodami, nie są wprawdzie tożsame, ala są właśnie analogiczne, jako aspekty niewyczerpalnej idei ładu wogóle.

Tak więc za tym pozornym pluralizmem kryje się istotny uniwersalizm. Nie jest to sakralny uniwersalizm *Sacrum Imperium*, ogarniający jednostki węzłem powszechnej organizacji zewnętrznej, ale jakiś uniwersalizm świecki, który możnaby nazwać immanentnym, bo węzeł powszechności przeniesiony jest tu do wnętrza jednostki, do jej psychiki. Węzłem tym bowiem jest posiadanie *habitus* narodowego, który przy całej swej rozmaitości odmian narodowych i odmian w obrębie nawet jednego narodu, stanowi węzeł jedności prawem analogji, jako wyraz idei ładu, której różne, ale analogiczne aspekty rządzą narodami. *Habitus* narodowy w artykule pod tym tytułem nazwałem — upraszczając rzecz — kryształem. Otóż jedność oparta o *habitus* narodowy, to jedność ludzi o zorganizowanej psychice, mających w duszy kryształ. Jedność ta wiąże ludzi w społeczeństwa wedle podobieństwa kryształów, tworząc pozorny pluralizm — wiele różnych narodów, — ale wiąże ich także w powszechność szerszą prawem analogji. Ta powszechność szersza to społeczność międzynarodowa. Jednostka nie wchodzi do niej bezpośrednio, tylko pośrednio przez naród. Naród wytwarza w psychice jednostki ów kryształ — do społeczności, którą możnaby nazwać niemile brzmiącem słowem ludzkość, wchodzą ci tylko, którzy są członkami narodów, którzy zatem ów kryształ taki, czy inny mają. Średniowiecznemu heretykowi, który sam opierając się na błędzie, nadto jeszcze „podkopuje żywotne źródło samej społeczności doczesnej", odpowiadałby tu człowiek niemający kryształu, człowiek o psychice zdezorganizowanej. To jest przyczyna, dla której zdrowe narody pozbywają się dziś żydów, ludzi bez narodu, nie należących do społeczności międzynarodowej, do ludzkości, którzy ponadto przez swą dezorganizację psychiczną zagrażają żywotnym źródłom społeczności narodów. Historja prowadzi do kategorycznego podziału na ludzkość i żydów, do uznania żydów za nienależących do ludzkości, a jest to właśnie wyraz dążenia do powszechności historycznego ideału cywilizacji. Asymilacja jest tu mrzonką. Asymilacja polega w gruncie rzeczy na zmianie *habitus* narodowego, na przebudowie kryształu organizacji psychicznej z takiego na inny. Można tego dokonać tylko wtedy, gdy człowiek ma w duszy wogóle jakiś kryształ — można bowiem wtedy ten kryształ przebudować, gdy zaś kryształu niema, gdy ktoś ma w duszy piasek, kryształu zeń ulepić się nie da.

Bez usunięcia żydów poza ludzkość cywilizacji chrześcijańskiej, nie wyobrażam sobie nowego ideału historycznego, jeśli ma on być zgodny z istotnemi prądami historycznemi.

Samo jednak usunięcie żydów to bodaj rozwiązanie jedynie tymczasowe. Rozwiązaniem ostatecznem byłoby wykształcenie w nich owego kryształu. Na to jednak potrzeba ich izolować, związać z ziemią, zmusić do samodzielnego życia narodowego i dać im prawdziwą religję. Proces wykształcenia kryształu musi się jednak odbywać w całkowitej izolacji i byłby to proces o trwaniu wielowiekowem. Izolacja jest konieczna aby uniknąć działania rozkładowego żydów, zanim ten kryształ się wytworzy.

Uniwersalizm, tak pojęty jest jak powiedziałem świecki, bo oparty o naród, który jest rzeczą świecką, nie sakralną. Naród jednak bytem swym wyrasta ku sprawom wiecznym i do nich wiedzie — do tych właśnie spraw wiecznych, które są przedmiotem religji. Zatem uniwersalizm ten, oparty o węzeł duchowy *habitus* narodowego, jest uniwersalizmem istotnym, bo sprawy doczesne wiąże z wiecznemi jednością życia narodu.

Po tem wszystkiem, co powiedziałem wyżej, trzeba stwierdzić, że we współczesnym klimacie historycznym, którego istota polega na odkryciu, że naród jest istotą wyższą, stworzoną przez Boga, ideał uniwersalnego porządku społecznego realizuje się na dwu płaszczyznach — w wewnętrznym ładzie narodowym i w społeczności międzynadowej. W obu wypadkach celem jest tu stworzenie warunków, w których jednostka może skutecznie dążyć do swych celów wiecznych. Ponieważ jednak jednostka wchodzi do społeczności międzynarodowej tylko pośrednio, poprzez naród, zatem na narodzie przedewszystkiem spoczywa obowiązek tej pomocy. Dlatego naród musi budować swą siłę i wielkość, a konflikty międzynarodowe jakie stąd mogą wyniknąć są analogiczne do konfliktów między jednostkami, rozwijającemi swą ekspansję i wolność. Naród w realizowaniu swych celów może żądać od jednostki ofiary z jej dóbr doczesnych (wojna). Konflikty między narodami mogą być regulowane tą samą etyką, która reguluje stosunki między jednostkami, jednakże stosowaną znowu analogicznie, nie jednoznacznie, o czem ciągle się zapomina.

Oczywiście może się tu zarysować wątpliwość, że skoro *habitus* narodowy zawiera wśród swych kręgów religję narodu, tedy niema jedności między narodami różnowierczemi. To jednak jest już sprawa ściśle religijna, a przytem sądzić można, że ta rozbieżność jest w pewnym sensie pozorna. Jeśli się bowiem uznaje, że jest tylko jedna prawda, jedno prawo Boże, zatem sądzić należy, że każda idea narodu, myśl Boża o ładzie w porządku społecznym, musi zawierać w sobie pierwiastek prawdziwej religji. *Habitus* narodowy, który jest realizacją psychiczną tej idei ładu, zawiera tedy także pierwiastek prawdziwej wiary. Naród w życiu swem dąży do realizacji idei swej w konkretnym materjale rzeczywistości narodowej. Idea narodowa jest niewyczerpalna w materjale rzeczywistości, stanowi wieczny zaczyn twórczości i naród realizuje coraz to nowe jej aspekty. W tem dążeniu realizacyjnem może być rozmaicie zaawansowany — trzeba tedy wierzyć, jeśli się nie chce porzucić przekonania o tem, że jedno jest prawo, które rządzi światem, — iż narody niekatolickie nie zdołały jeszcze zrealizować tego religijnego aspektu swej idei, w której zawiera się pierwiastek prawdziwej wiary. Trzeba, w konsekwencji przyjąć, że narody mogą błądzić. Błąd ich, powiedzmy analogicznie — grzech, polega na niewierności w stosunku do swej idei ładu. Skoro zaś naród jest osobą duchową, sięgającą swemi celami w świat spraw wiecznych, tedy przyjąć wypada i odpowiedzialność narodu za jego błędy. Skoro zaś taka odpowiedzialność istnieje, tedy jest grunt dla etyki w życiu społeczności narodów.

Tak więc narodowy ideał historyczny spełnia najważniejszy warunek — powszechności. Jest analogiczny do ideału historycznego średniowiecza i, jak sądzę, jeszcze od niego bujniejszy. Wiedzie bowiem do realizacji powszechnej jedności cywilizacyjnej na dwu frontach — społeczności narodów, co znaczy mniej więcej tyle co ludzkość, oraz społeczności narodowej. Opierając się o istotny, zasadniczy uniwersalizm, tworzy zewnętrzny kształt świata o obliczu pluralistycznem. Pluralizm ten, z uwagi na pluralistyczny charakter jedności narodu, nazwaćby można nieskończonym. Zgadzam się tedy z Maritain'em na to, że nowy ideał historyczny ma mieć charakter świecki, nie sakralny, a także pluralistyczny. Jednakże obie te cechy uważam za jedynie zewnętrzne — kryje się bowiem pod niemi religijne skierowanie dążeń i istotna ich uniwersalna jedność. Maritain, który dostrzega te cechy zewnętrzne, a przeocza paradoksalne współistnienie zasadniczych cech przeciwnych, niezgodny jest z zasadami, które wysunął na początku, charakteryzując chrześcijański ideał historyczny wogóle, w oderwaniu od klimatu historycznego.

(D. n.)

HENRYK EYSYMONTT

USTALANIE PISOWNI

PO OGŁOSZENIU uchwał z czwartego posiedzenia Komitetu Ortograficznego (o czem w rozprawce p. t. „Wojna o jotę" pisałem w poprzednim zeszycie „Myśli Narodowej") Polska Akademja Umiejętności ogłosiła w tygodniu ubiegłym uchwały piątego posiedzenia tego Komitetu. Ponieważ owo piąte posiedzenie zmieniło uchwałę czwartego w punkcie, który w „Wojnie o jotę" obszernie omówiłem, więc poczuwam się do obowiązku przedstawienia tej zmiany czytelnikom, abyśmy względem niej mogli natychmiast krytyczne zająć stanowisko. Nowa uchwała Komitetu w owym punkcie brzmi jak następuje:

„Co do pisowni w wyrazach typu: *Marja*, *diecezja*, wedle ostatnich uchwał zbyt skomplikowanej (*j* po *s*, *z*, *c*, *t*, *d*, *r*, i *l*), powrócono do uchwały poprzedniej z czerwca 1935 r., by pisać *j* tylko po *s*, *z*, *c*, a to dla uniknięcia wymowy: *pens'a*, *s'esta*, *Az'a*, *Franc'a*, po wszystkich zaś innych spółgłoskach pisać *i*, a więc: *diecezja*, *Holandia*, *miazmat*, *premia*... (15 głosów „za", 4 „przeciw", 2 wstrzymujących się). Obok: *triumf* wolno pisać *tryumf*, obok *Maria* — *Maryja*. Pozostaje: *Syjon*, *Syjam*, *cyjan*. — W pisowni ściśle naukowej dopuszcza się nawet połączenia: *s*, *z*+i, np. *sial*..."

Jak stąd widzimy, nowa uchwała unicestwia w tym punkcie uchwałę powziętą przed miesiącem, a powraca do uchwały powziętej przed dziewięcioma miesiącami, w stosunku zaś do przedmiotu swojego powiększa jeszcze zamęt i pomnaża błędy, na czwartem posiedzeniu Komitetu popełnione. Uwagi zatem, które w „Wojnie o jotę” poczyniłem, całkowicie w mocy swojej pozostają, a nadto i nowe jeszcze do nich dołączyć tu muszę. Mianowicie:

Z obecnej — marcowej uchwały Komitetu wynika, że tam nawet, gdzie samogłoska *i* stanowi końcowe oparcie dla odrębnej zgłoski, Komitet zaleca pisanie owego *i* po spółgłoskach *r* i *d*, co pozostaje w stanowczej sprzeczności i z duchem języka polskiego i z regułą, jaka słusznie w tym zakresie w wymowie i w pisowni panuje. Zalecenie to Komitet ponad wszelką wątpliwość uwidocznił w słowach, za przykłady przez siebie podanych — *triumf* i *diecezja*, które w tem zaleceniu muszą być wymówione, jako *tri-umf*, oraz *di-ecezja*, albo *di-jecezja* — a to z wyraźnem wyodrębnieniem zgłosek *tri* i *di*.

Otóż spółgłoski *r* i *d* należą właśnie do szeregu tych spółgłosek, które w języku polskim z reguły unikają oparcia o następną miękką samogłoskę *i*, zastępując ją w słowach pochodzenia obcego na rodzime w tem zestawieniu oparcie o twardą samogłoskę *y*. Wyjątki trafiają się wyłącznie w słowach wcale lub niezupełnie spolszczonych, a głównie w imionach własnych. Spolszczenie zaś takich słów objawia się przedewszystkiem w stwardnieniu zgłosek na dźwięki — *dy* i *ry*. Jak dalece uparte jest i powszechne w tym kierunku dążenie języka polskiego, niech zaświadczą pierwsze z brzega wzięte słowa następujące: *Skandynawja, Odyn, Dynaburg, Medyna, Medyceusz, dysk, dyrektor, dymisja, dynamo, dygresja, dyjeta, ondyna, dynastja, troglodyta, medycyna, dydaktyka, dyktator* i t. d. Oraz: *Paryż, Madryt, Brytanja, Turyn, Brystol, brylant, brygadjer, rym, wirydarz, prymas, grymas, tryton, rywal, marynarz, parytet, ryzyko, bryg, patryjotyzm* i t. d. Wszędzie wbrew obcym *di* i *ri* Polacy urabiają *dy* i *ry*.

Uchwała Komitetu, ubocznie dotycząca dźwięków *di* i *ri* w słowach pochodzenia obcego, pozwala na przypuszczenie, że Komitet wogóle nie uwzględniał zasadniczych nastawień fizjologicznych i psychologicznych, które w zakresie wymowy były i są nadal czynne w kształtowaniu się języka polskiego. Do tych przeto uwag, które w „Wojnie o jotę” wypowiedziałem o roli joty oraz samogłoski *i*, należy jeszcze i tę dodać, że w słowach pochodzenia obcego, mając do wyboru oparcie albo o samogłoskę *i* albo o samogłoskę *y*, język polski rózróżnia trzy rodzaje spółgłosek: 1) *b, dz, f, g, ch, k, l, m, n, p, w* opiera na miękkiej *i*, 2) c, *cz, d, dż, r, rz s, sz, t, ż* opiera na twardej *y*, zaś 3) *h, z* — zależnie od innych powodów w jednych słowach na miękkiej, a w innych — na twardej. W każdym z obu pierwszych szeregów bywają wyjątki, ale reguła jest aż nadto widoczna. Dlaczego nie przyjęto jej w uchwałach Komitetu?

W zaleceniu, by jotę pisać tylko po *s, z, c*, Komitet podaje powód, mianowicie: „a to dla uniknięcia wymowy — *pens'a, s'esta, Az'a, Franc'a*”. Po wszystkich zaś innych spółgłoskach zalecono pisać *i*. W zaleceniu tem i jego powodzie widzę wielką nielogiczność, albowiem przecie to samo *i* grozi tem samem niebezpieczeństwem po innych spółgłoskach, wtedy bowiem „nie uniknęłoby się” takich oto dziwotworów, jak: *„prem'a, mum'a, astronom'a, man'a, Dan'a, Hiszpan'a, kop'a, terap'a, satrap'a, b'olog'a, Belg'a, relig'a, fob'a, Euzeb'a, atrof'a, filozof'a, maj'a, w'atyk, aw'atyka, Boliw'a, d'ament, d'eta, d'urnista, Pyt'a, Et'op'a, t'ara, t'okol, Tok'o, Mak'awel, Sak'a (Muni), monarch'a, Ant'och'a, h'erarch'a, H'ob, h'acynt, war'at* (podobnie do rosyjskiego *mor'ak*), *Mar'a* (jak ros. *War'ag), Or'on* (jak francuskie *brioch'e*, albo jak rosyjskie *wr'osz*). *Mol'er, kol'a, del'a*. I t. d.

Lutowa uchwała Komitetu była nieco rozsądniejsza od czerwcowej (z roku ubiegłego). Obecna— marcowa uchwała przywraca powagę tym błędem, które Komitet sam w lutowej uchwale przed miesiącem przekreślił. Jakie wiatry miotają barką Komitetu na spokojnem, zresztą, jeziorze ortografji polskiej? A mówiąc bez poetyckiego patosu, czy godzi się, żeby pod egidą Polskiej Akademji Umiejętności w obliczu szkół i całego społeczeństwa Komitet Ortograficzny dawał z siebie tak gorszące widowisko? Czy tak powinna odbywać się naukowa praca ustalania pisowni?

Zdaje się, że najwyższe władze Polskiej Akademji Umiejętności odczuły całą niewłaściwość takiego postępowania, w najnowszym bowiem komunikacie swoim uchwały Komitetu takim poprzedziły wstępem:

„Komitet, wybrany w stycznia 1935 r. na podstawie porozumienia Polskiej Akademji Umiejętności z Minister stwem Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, a składający się w większości z osób niebędących członkami P. A. U., odbył w dniach 9, 10, 11 marca 1936 r. swe piąte zebranie przy udziale 25 członków.” I t. d.

W uwadze o „większości członków Komitetu niebędących członkami P. A. U.“ można domyślać się chęci zrzucenia odpowiedzialności z Akademji, a wtedy z konieczności wzrok ogółu polskiego skierowuje się ku Ministerstwu, tak zawiłą nazwę noszącemu. Oczywiście, gdy ortografję polską wpływem swoim i większością ustalają urzędnicy tego ministerstwa, to na nich spada odpowiedzialność jeśli przez ciąg całego roku doprowadzili pracę swoją do wyników tak kompromitujących.

Nie wtrącam się narazie do innych punktów uchwał owego Komitetu, chociaż mam co do nich kilka zastrzeżeń zasadniczych. Żywię nadzieję, że mimo gorączkowego pospiechu, jakim nagle „przed Wielkanocą” zapłonął, Komitet pracy swojej wogóle nie dokończy, bo go samo poczucie przyzwoitości ze strony władz P. A. U. rozwiąże. Ma już Polska współczesna dosyć wstydów rozmaitych we wszystkich życia dziedzinach, niechbyśmy przynajmniej tę poczciwą ortografję oszczędzili. A ona naprawdę poczciwa jest, gdy niepisana i przez profesorów nie torturowana swobodnie w mowie polskiej żyje.

Aby ją w opis i zasady ująć, trzeba mieć tylko ucho muzykalne i trochę zmysłu syntezy.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

NA WIDOWNI

Okres odrodzenia narodowego.—Zegar słoneczny i zegar dziejów.—Nowożytny etap twórczości.—Rok 1887.—Dwa zjednoczenia. — Co dało zjednoczenie z ludem. — Czy to romantyzm?—Od Popławskiego do naszych czasów.—To nie jest *idem*.

MAM pisać o związku literatury z życiem i to w obrazie dość aktualnym, tymczasem przez jakieś skojarzenie myśli staje mi przy drodze, niby wiejski świątek, figura widmowa Franciszka Djonizego Kniaźnina z XVIII wieku. Piosnki Anakreona, bajki, sielanka, panegiryk—oto był jego świat poetycki w czasie, gdy już dom się walił i świat zdawał się ginąć. Kroniki podają, że gdy doszła do niego wieść o ostatecznym podziale Polski, dostał pomieszania zmysłów. Ani wiedział, w jakim stopniu dusza jego zrośnięta była z dziejami narodu. Melancholja objawiała się w ten sposób, że stawał od rana nad słonecznym zegarem i osłupiałym wzrokiem śledził posuwanie się cienia wskazówki. Tłumaczę to sobie symbolicznie, że pokutował w nim duch pokolenia literackiego za niedostateczne uświadamianie sobie czasu dziejowego.

Inna rzecz polityka; ale cóż ona, cóż sternik państwowy, gdy naród nieuświadomiony, jaka godzina jego dziejów? Dzieje płyną normalnie, gdy są eposem, to znaczy twórczością, opartą na gotowości powszechnej przezwyciężania złej doli i ponoszenia ofiar. Naród mieści w sobie swój los, w jego sercu zegar dziejów. Aktami przemocy można ciało narodu podzielić, skrępować w kordony, a przecież to serce żyć będzie. Nie dziwię się, że Kniaźnin zwarjował, jeśli nie miał dość wiedzy o tem sercu, czy wiary.

Ale idźmy dalej.

— — — — — — — — — — — —

Niedawno pisałem w tem miejscu o książce Ignacego Chrzanowskiego „Literatura i naród". Są tam dowody, że piśmiennictwo polskie po wszystkie czasy bywało wyrazicielem instynktu dziejowego i myśli zbiorowej. Rola literatury, jako tarczy zegara, według której zorjentować się można w samopoczuciu i samowiedzy narodu, stwierdzona została w XIX wieku. Stało się to ku wielkiemu zaniepokojeniu sofistów, usiłujących zagubić osobowość narodu w międzynarodówce, a literaturze narzucić konstytucję, opartą na zupełnej autonomji w stosunku do życia narodu, nawet do osobistości twórcy.

To przeciwdziałanie rozsądkowi, dyktowane rzekomo wymaganiami „nauki", niesłychanie zubożyło historję literatury przez pozbawienie jej najcenniejszych wskazań spoza świata literackiego. Odbiło się to chociażby na metodach szukania klucza do podziału literatury na okresy. Naukę o literaturze sterroryzowano w tym kierunku, aby szukała rytmu dziejowego w autonomicznym świecie literatury, okrojonym z publicystyki, historji, filozofji i ograniczonym do zakresu literatury „pięknej". Szukanie związku z rytmem przemian, dokonywających się w duszy narodu, podane było w pogardę, jako publicystyka.

Związek między literaturą a dziejami narodu w dawnych wiekach niewątpliwie trudny jest do uchwycenia, inaczej jednak w epoce nowożytnej. Niekonsekwencja stawała się jawną, te same bowiem czynniki postępu, które głosiły rozbrat między życiem i literaturą, w drodze przemian społecznych (t. zw. demokratyzacji) umożliwiały wypowiadanie się żywiołu społecznego w piśmiennictwie. Kontakt życia i literatury stał się już oczywisty. Niemniej za czyn wymagający odwagi poczytać należy prof. Stefanowi Kołaczkowskiemu, uzdolnionemu teoretykowi badań nad literaturą nowożytną, że pokusił się o znalezienie linji granicznej, niby działu wód, między literaturą czasów pozytywizmu a literaturą nam współczesną—i to w związku z przemianą, jaka zaszła w duszy społeczeństwa. Pracę tę ogłosił w księdze zbiorowej, którą historycy literatury złożyli obecnie prof. I. Chrzanowskiemu z racji jego jubileuszu.

Za datę przełomu okresowego prof. Kołaczkowski uznał r. 1884, jako rzekomo rok założenia „Głosu" ze względu na programowość wystąpień J. L. Popławskiego. Ten wzgląd jest bardzo istotny, i właśnie dlatego datę przesunąć należy o dwa lata na rok 1886, bo wtedy „Głos" powstał, właśnie 50 lat temu. Nowy okres popozytywistyczny, domagający się od historyków szczegółowszych poddziałów, ma już swoje półwiecze i powinien już mieć dobrze opracowane swoje uzasadnienie historyczne.

W minionem 50-leciu odrodzenia narodowego odróżnić można wyraźnie trzy podokresy: 1) ludowości (demofilizmu) 1887 — 1907, 2) wielkiej polityki, 1907 — 1921, 3) nacjonalizmu, mającego zadanie dziejowe oczyszczenia Polski z nadmiaru żywiołu obcego. Pierwsze dwa etapy zostały wykonane według programu w myśl założeń ideowych.

Fundament pod uzasadnienie tego okresu położył sumienny badacz dziejów literatury Piotr Chmielowski już w r. 1894, kiedy w trzeciem wydaniu swego „Zarysu najnowszej literatury polskiej" (dwa pierwsze są z r. 1880 i 1885) uzupełnił obraz przewrotem ideowym, dokonanym przez Popławskiego. Kołaczkowski sądzi, że fakty tam zestawione dają dostateczną podstawę do uznania w nich początku nowego okresu literatury. My tutaj, na gruncie publicystycznym stojąc, możemy powiedzieć więcej: był to początek całkiem nowego okresu w dziejach nowoczesnych Polski, nietylko literatury.

Kołaczkowski słusznie wiąże hasła „Głosu" pewnem pokrewieństwem z trylogją Sienkiewicza. Tak, bo ten przełom dokonywał się nie tylko przez swój zwrot do ludowości, jakby z pozoru sądzić można; był to ruch także atmosfery historycznej, odczuty przez cały naród, nawiązanie psychiki do dawnych dziejów — w oczekiwaniu nowych. Zaczynał się nowy okres eposu z ukrytym motywem politycznym, ruch, który się udzielił z różnych stron obu nieznającym się ludziom — Sienkiewiczowi i Popławskiemu, tak samo, jak potem następczemi falami — Kasprowiczowi i Wyspiańskiemu.

— — — — — — — — — — — —

Na czem ten zwrot polegał? Mówi się ogólnie: na zwrocie od materjalizmu do idealizmu. Bliżej określając: racjonalizm, wszystko pozytywistycznie wykładający, racjonalizm naukowy, przyrodoznawczy, matematyczny (dwa razy dwa jest

cztery), połączona z nim trzeźwość i deterministyczna uległość faktom, kształtująca postawę człowieka—nie zaspokajały już potrzeb duchowych nowoczesnego Polaka. Nie wystarczała mu już praca organiczna ze swemi drobnemi idejkami, łaknął „żywej wody", jak mówił Popławski. Wyczuł koło siebie życie i to bliższe mu się stało, niż teorja, przez to samo, że tkwi w niem pierwiastek irracjonalny. W jaki sposób wyczuwa się życie? Otóż tu tkwi moment cudowności życia: poczucie siły. Istnieje jakaś cenestezja organizmu narodowego, że prądy tego poczucia krążą przez warstwy i jednostki jako samopoczucie. Twierdził pozytywizm (przez usta Świętochowskiego) że póty bytu ma naród, póki o sobie mówić może: „*cogito ergo sum*", teraz Polak nie zadowala się myśleniem: „*volo, ergo sum,* a patrjotyzm mój nie wymaga żadnego teoretycznego uzasadnienia. Wychodzę nie z doktryny, lecz z faktu, a tym faktem jest dla mnie instynkt".

A więc nawrót do romantyzmu? Przeciwstawność rozumu i uczucia? Nie. To był punkt wyjścia dla wielkiej syntezy, która w tym okresie miała się dokonać pod przewodem i w związaniu woli trwałego życia. Wola bytu stopiła w sobie rozum z uczuciem; sama przez się irracjonalna, jako nakaz instynktu, stworzyć miała podstawy realnej myśli politycznej.

Popławski w ośm lat później, w r. 1895, we wskrzeszonym „Głosie" spokojnie, raczej jako historyk początków tego nowego okresu, w artykule „Zwrot do idealizmu" syntetyczność tego prądu motywował. Niestety, w owym czasie cenzura dla „Głosu" była już tak surowa, że zaledwie część wywodów jego ocalała. Przed laty, w r. 1887, warunki wypowiadania się, nawet namiętnego, były lepsze.[1])

Dla przykładu przytoczę parę zdań z jednego z pierwszych artykułów Popławskiego w „Głosie" („Obniżenie ideałów", 1887):

„Trzeba obejrzeć się wstecz, aby zobaczyć, jak obniżył się poziom naszych ideałów obywatelskich, naszych uczuć zbiorowych [= patrjotyzmu]. Pokolenie, które dziś żyje i działa, wzrastało już w atmosferze zatrutej wyziewami tej moralnej posoki, sączącej się z ran niezasklepionych. Lepsze jednostki nawet, których dzięki szczęśliwym wpływom nie zakaziła zgnilizna moralna, w wielu wypadkach nie posiadają już owego zmysłu uczciwości obywatelskiej, niezbędnego dla oceny pewnej kategorji czynów. Etyka indywidualna nie może być probierzem tej niecnoty, którą co krok spotyka się w naszych stosunkach społecznych[2]), niecnoty, która nietylko występuje jawnie w dzień biały, ale puszy się bezczelnie i urąga wszystkiemu, co zachowało jeszcze wstyd uczciwy, albo bodaj wstyd swej sromoty.

Jeżeli teraz w pokoleniu młodszem, które, jak powiada Spasowicz[3]) „ma nerwy wypoczęte, ma mięśnie prężące się do ruchu" — budzi się uczucie i domaga się słusznych praw swoich, to uczucie—spotwarzone, sponiewierane, zakute w dyby „trzeźwej praktyczności", — nie znajduje ono pokarmu w owej zasobnej spiżarni, która napełniła się po wręby w ostatnich latach produktami cnót gospodarskich, ale wyrywa się na te szerokie przestworza, na te bujne łany, na te łąki kwietne poezji lat minionych i swe spalone gorączką usta orzeźwia w źródłach wody żywej, wody nieśmiertelnej.

Nie jest to bynajmniej zwrot do tradycji romantyzmu, od którego dzieli nas długi szereg lat i dłuższy szereg bolesnych doświadczeń. Jesteśmy dziećmi innej epoki i podstawy naszego myślenia, ideały nasze i drogi, które do urzeczywistnienia ich prowadzą, są zasadniczo odmienne[4]). Istnieje wszakże pewna sfera uczuć i dążeń, w której bliższymi jesteśmy ojców naszych romantyków, aniżeli korepetytorów naszych i nauczycieli, wykładających nam zasady filisterskiej rezygnacji, pracy organicznej itd. I w tej sferze właśnie uczucie i wiara mas „silniej mówią do nas, niż szkiełko i oko mędrców" od filozofji praktycznej.

Nie jest to więc reakcja w pospolitem znaczeniu tego wyrazu. Owszem, zwrot ten wiąże się właśnie z wyzwoleniem myśli z krępujących ją powijaków dogmatyzmu i ślepej tradycji. Następstwem tego wyzwolenia jest to dostrajanie do odpowiedniego tonu uczuć, które są przecież najważniejszym czynnikiem działalności społecznej"...

— — — — — — — — — — — —

Zaczęło się więc mówić o roli uczuć (patrjotycznych) jako „niezbędnym czynniku działalności"... Ten nastrój aktywności rodził się z poczucia siły. Ale należałoby bliżej rozpatrzeć— i zadania tego nie powinna się sromać nawet historja literatury — skąd się wzięło to poczucie. Nowe pokolenie, świeże, wypoczęte po powstaniu? Pokolenie inteligenckie? Onoby z siebie tej siły nie wzięło. Czy ją czuło w sobie poprzednie, które wywołało powstanie 1863 r.? Owo pokolenie, obnoszące się żałobą, śpiewające żałobne chorały Ujejskiego?

Zaszło coś innego. Dorastało właśnie około r. 1887 nowe pokolenie ludu wiejskiego, pierwsze po uwłaszczeniu, w odrodzonej już wsi zaznające wolności pracy i i oddechu. Tam na wsi rodziło się poczucie siły. Przecież nie we dworach, które właśnie przechodziły okres kryzysu gospodarczego i z obawy przed tą właśnie „siłą" szukały ostoi w ugodzie z rządami zaborczemi. Owa przemiana w życiu dała się odczuć całemu społeczeństwu, dosięgła literatury. Popławski, który pierwszy tę wielką przemianę stwierdził, zrobił odkrycie, które wstrząsnęło wyobraźnią. Była to wielka przemiana, bo polegająca na pomnożeniu narodu i zjednoczeniu. Zanim przyjdzie do zjednoczenia terytorjów, nastąpiło zjednoczenie rozdzielonych dotąd historycznie (a więc w czasie) na dwie kultury odrębne (jak wywodził Popławski) odłamów narodu. Przybytek był nietylko arytmetyczny, przybyła siła z dopływem żywiołu, w którym był instynkt, zwietrzały już znacznie w sferach górnych.

Świadomość tego faktu wywołała entuzjazm Kasprowicza: „jest w ludzie siła niespożyta"! Na tym fakcie ówczesna Demokracja Narodowa ufundowała nie tylko literaturę, lecz program polityczny, którego autorami byli Popławski i póź-

[1]) Cenzura nie orjentowała się w nowych prądach. Tyle lat Warszawa była jak martwa. Zwrot do ludu władze rosyjskie traktowały pobłażliwie, spodziewając się, że on się obróci przeciw szlachcie. Prezesem komitetu cenzury w r. 1887 był Ryżow do którego znalazł dostęp ówczesny nakładca „Głosu", człowiek dość zamożny (Kierst), a Ryżow wrażliwy był na argumenty czysto osobiste. Nie długo to jednak trwało.

[2]) Czytelnik rozumiał wtedy dobrze, że są to aluzje polityczne do sprzeniewierstwa narodowego, ugody, nawet zdrady.

[3]) Wpływowy pisarz, pół Rosjanin, znakomity adwokat petersburski, przewódca ugodowców, utrzymujący, że prawa Polski do samoistności uległy już przedawnieniu.

[4]) Zapowiedź nowego programu polityki, wiodącej do niepodległości.

niejszy autor „Myśli nowoczesnego Polaka" — Dmowski.

Odkrycie ludu z jego siłą odnowy życia zrobiło na umysłowości polskiej wstrząsające wrażenie, ile że towarzyszyły hasłom takie fakty, potwierdzające ich prawdziwość, jak postawa ludu wielkopolskiego i pomorskiego wobec systemu kolonizacyjnego. Chłop ziemi nie sprzedał! Był to więc lud przydatny nie tylko do sielanek i do badań etnograficznych, to była już „Placówka" narodowa, jak to ocenił Bolesław Prus. Skończyła się faktycznie bezdziejowość i żałoba, naród jest znowu w ruchu, ruszył zegar dziejów i to można było dostrzec na słonecznej tarczy literatury, dla której idea życia jest słońcem.

— — — — — — — — — — — — —

Nie trzeba jednak w badaniu historycznem zamykać oczu na chmury, które ćmić będą znaki zegara. T. zw. demokratyzacja wydobyła z żydostwa po jego równouprawnieniu, wiele surowca, który już nie chciał się asymilować i prawem rasowego odrodzenia wytworzył swoisty syjonizm. Trzeba się liczyć w tym okresie z antagonizmem żydów, usiłujących opanować kulturę krajową, podsuwając swoją w przekładzie na język polski. I to coraz wyraźniej zaznacza się w literaturze, o czem historycy nie radzi wspominać.

Historycy tego nowego okresu zbyt powierzchownie traktują ruch socjalistyczny, jakoby go rodziło to samo „poczucie siły". To nie była ta sama „żywa woda", radjoaktywna, dobywająca się z ziemi polskiej przez lud. Należałoby te prądy poddawać staranniejszej analizie. Barwa, brana na oko, myli pozorem. Niepodległość, owo hasło późniejsze! *Si duo faciunt idem — non est idem.* Że nie jest *idem*, widzimy to przecież dzisiaj z postawy generacji socjalistycznej. Znalazła się ona była wtedy, w zaraniu okresu, na rozdrożu między dwoma prądami nacjonalnemi. Nie mógł pociągać jej przecież nacjonalizm żydowski, nie biorąc go wszakże na serjo, szukała w nim sprzymierzeńca. Przeciwko komu? Przeciwko nacjonalizmowi polskiemu. I tak pozostało do dziś. Jakież hasło jest odnawianego dziś pod protektoratem żydów „frontu ludowego"? Walka z nacjonalizmem polskim, z tym właśnie, który w r. 1887 święcił zjednoczenie Polski z ludem, a w r. 1919— zjednoczenie jej terytorjalne.

Nie będę się dłużej nad tem rozwodził, ale skoro się wzięło za punkt wyjścia stosunek życia do literatury, która ma być wyrazem żywotwórczych sił narodu, to należy zapytać, gdzie są ślady tego stosunku w literaturze socjalistycznej? Czy wogóle generacja socjalistyczna mogła być twórcza? Poczucie siły, jeżeli tam było, to mechanicznej z powodu szybkiego rozrostu przemysłu, lub nadanej zzewnątrz. Czytajmy wydane obecnie pamiętniki Michała Sokolnickiego, Hutten Czapskiego, lub przed paru laty wydane Janika. Nie byłoby potrzeby tworzenia koło tego ruchu legendy, gdyby stosunek do życia był prosty.

— — — — — — — — — — — — —

Sporo czasu minie, zanim dzieje tego okresu, bardzo skomplikowane, bo nie gabinetowe, lecz w tarciu różnych prądów masowych szukające ujścia, będą wyklarowane. Historykom literatury wystarczy wskazówka uczonego, że w warunkach życia nowoczesnego momentów przełomu literackiej twórczości szukać należy w przemianach, zachodzących w psychice narodu, gdzie biją godziny dziejów.

Literatura, w całości swej wzięta, składa się na jeden wielki epos narodu. Walka o prawo tworzenia tego eposu sięga głęboko w rdzeń bytu narodowego. Kto nie ma czucia wewnętrznego dziejów, ten traci wiarę i bywa tragiczny, jak ten na początku dzisiejszej wycieczki Kniaźnin, któremu zmysły odebrało poczucie, że wytrącony jest z przestrzeni i czasu.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

NIEMAL, ŻE ZBIEGŁY SIĘ CAŁKOWICIE ROCZNICA PLEBISCYTU NA GÓRNYM ŚLĄSKU Z NIEMIECKIM PLEBISCYTEM POWSZECHNYM W NIEDZIELĘ, DNIA 29-go MARCA. Minęło lat piętnaście od chwili, gdy lud śląski wypowiedziawszy swe zdanie, zamanifestował z kolei zbrojnie swą wolę przez trzecie, największe z powstań. Z Polski szedł wówczas powiew entuzjazmu, którym budowano odradzające się państwo, wykreślano nowe jego granice. Niemcy przedstawiały obraz rozkładającego się organizmu: pobite w wielkiej wojnie, uszczuplone terytorjalnie, upokorzone psychicznie, broniły się resztkami swych sił, płacąc za zmniejszenie dotkliwych sankcyj ze strony państw zwycięskich, zaprzedaniem duszy narodu triumfującej wówczas masonerji i międzynarodowemu żydostwu.

Piętnaście lat dzielące nas od dnia pamiętnego plebiscytu wiele zmieniły na świecie. Tempo współczesnego dnia skraca nawet dziejowe procesy. Odrodzone siłą idei narodowej Niemcy w parę lat po zwycięskiej rewolucji antymarksistowskiej potrafiły zajęciem zdemilitaryzowanej Nadrenji upokorzyć z kolei Francję, która na nic więcej zdobyć się nie potrafiła aniżeli na pozornie mocne, w gruncie rzeczy jednak puste raczej, oświadczenie premjera Sarraut.

Dojście do władzy hitleryzmu dało daleko więcej światu niespodzianek, aniżeli wszyscy przypuszczali. Gdy w parę tygodni po fakcie przepędzenia rządów masonerji w Berlinie, zapytano jednego z najbardziej kompetentnych znawców życia polskiego w Niemczech, jak obecnie będzie ono wyglądało, ten odrzekł:

— Nic się już na gorsze zmienić nie może.

Mylił się. Istotnie — siła represyj i nacisku państwowego była i przedtem bardzo silna — narodowy jednak socjalizm uzbroił się jeszcze w niebywałą potęgę — siłę idei. Docenialiśmy i my ten czynnik piętnaście lat temu. Dlatego to tak szybko na trzy dni przed terminem plebiscytu uchwaliliśmy ...demokratyczną konstytucję 17-go marca. Jako przynętę ukazaliśmy mieszaninę strzępów ideologji, wywodzącej się z ducha Wielkiej Rewolucji. Do zwycięstwa przyczyniły się — wierzcie — nie one, ale siła instynktów niezdławionych.

Niemcy przesycone są dzisiaj ideą własną, której moc suggestywna jest ogromna. Emanuje przecież poza granice Rzeszy. Udziela się innym.

W ślad za potężnym prądem, dającym narodowi raz wraz dużej jakości wartość duchową, idzie konsekwentny marsz systemu politycznego, przerabiającego życie według nowych planów.

Przyjrzyjmy się wynikom plebiscytu niedzielnego. W trzech tylko okręgach Hitler uzyskał wynik najsłabszy, bo sięgający zaledwie... 98%! Okręgi te to Hamburg, Lipsk oraz Chemnitz-Zwikau. Tam, a nie gdzieindziej. „Śląsk Opolski" — pisze „Warsz. Dzien. Nar." — „jest z pewnością i dzisiaj w gruncie rzeczy tem samem, czem był temu lat piętnaście. Jest to tylko dzielnica zdławiona". Wierzymy. Ale zdławiona mocno. „...Żyją tam jeszcza ci sami ludzie, co w plebiscycie głosowali za Polską i co brali udział w powstaniach..." Tak — ale nas obchodzą przedewszystkiem pokolenia idące. Te niestety są ogarnięte niemal wszechwładnie przez ruch narodowo-socjalistyczny. Wpływ domu polskiego słabnie z dnia na dzień. Jest pozostawiony przecież prawie że wyłącznie swoim siłom. Pomocy znikąd: nawet od rodaków zza polskiej granicy, nie mówiąc już o kościele...

Z Polski idą wieści o wynikach plebiscytu w dniu 8-ym września, a przez Niemcy przewalają się fale entuzjazmu, a megafony ogłaszają wyniki plebiscytu w dniu 29-ym marca. Można nawet powiedzieć, że się odwróciły role. Niemcy przybierają obecnie pozycję atakującą, imperjalistyczną, dynamiczną, my mówimy jedynie i wyłącznie o obronie. Zachowujemy się tak jakby to nam przedewszystkiem chodziło o utrzymanie jaknajlepszych stosunków z naszym zachodnim sąsiadem. A tymczasem jest akurat inaczej. Stwierdzić należy, iż w obecnej sytuacji międzynarodowej Niemcom przedewszystkiem zależy na utrzymaniu z nami stanu jaknajbardziej zgodnego współżycia. Stwierdzenie powyższe nasuwa szereg wniosków i wymaga konsekwencyj ich — realizacji. A tymczasem przejrzenie bilansów życia gospodarczego i kulturalnego niemieckiej mniejszości w Polsce i porównanie ich z takiemiż bilansami w Rzeszy stwierdza opaczny stan sprawy. Mało tego — w Gdańsku ogłasza się ostatnio werbunek do armji niemieckiej...

Sytuacja jest jasna, chociaż nie tak zła, jakby można ją było sądzić, chociażby na podstawie niniejszych uwag. W narodzie polskim tkwią wartości ogromne, pragnienie wielkości, dużej skali. Naród polski jest dzisiaj rezerwatem entuzjazmu pragnącego siły swego uczucia przerobić w energję twórczą.

Tylko... Otóż to „tylko" właśnie!

ZAGADNIENIE GOTOWOŚCI WOJENNEJ NARODU coraz to większą troską przejmuje opinję polską. Nowy prezes „Sokoła" płk. Franciszek Arciszewski, ogłosił przed kilku dniami następującą odezwę:

„Obowiązek utrzymania siły zbrojnej na poziomie godnym wielkiego Narodu jest dla każdego Polaka oczywisty. I choć na cel ten z ciężko zapracowanego grosza chętnie łożymy wszystko, co dać możemy, będzie to zawsze zaledwie cząstka tego, czego i chwila i położenie Polski wymaga.

Ale gotowość obronna państwa nie jest zależna wyłącznie od jego zasobów materjalnych. Możemy wzmóc wartość bojową naszego wojska także lepszem przygotowaniem fizycznem Narodu i wyrobieniem w Nim cnót żołnierskich. Dajmy więc Polsce to, na co nas stać w każdym razie, dajmy Jej więcej siebie, więcej pracy, energji, sprawności.

„Sokół", który przed 70 laty powstał dla hartowania ducha i ciała do walki o niepodległość Narodu, dziś w dalszym ciągu pozostaje wierny swojej idei — dobrowolnej i bezinteresownej służby Ojczyźnie. Dzisiaj poświęca on swoją pracę wzmożeniu sił odbudowanego już Państwa, lecz — w porównaniu z podobnemi organizacjami w innych krajach — jest nas zamało, by w pełni sprostać wielkim obowiązkom, jakie mamy przed sobą. Dlatego też, świadomi odpowiedzialności, która — w myśl statutu naszego — na nas ciąży, świadomi ważności chwili, którą przeżywamy, zwracamy się z apelem o zasilenie naszych szeregów!

W gimnastyce i sportach, uprawianych w karnych zastępach, widzimy szkołę cnót rycerskich, odwagi cywilnej i wojskowej, szkołę, wyrabiającą koleżeństwo i społeczną odwagę, a przedewszystkiem zręczność i sprężystość fizyczną, tak niezbędną żołnierzowi — słowem najlepsze przygotowanie przedwojskowe i trening powojskowy.

W sokolej pracy społecznej wznosimy się na terenie gniazd naszych ponad wszelkie wyłączności i waśnie wewnętrzne, pracując tylko dla dobra Narodu polskiego, jako całości, oraz wzmożenia sił Jego w całem Państwie. Wielka tradycja polska, chrześcijańska i rycerska, jest jedynym w naszej działalności drogowskazem.

Do nas więc, po dzielność i zdrowie, po radość życia i wypoczynek duchowy — a w pracy sokolej zahartujecie swe siły i, sami mocni, wzmocnicie moc i potęgę Narodu! Kto nie „ospały i gruśny", kto czuje się młody — wzywamy do szeregów „Sokoła"! Zgłaszajcie się do wszystkich gniazd naszych w całej Polsce, a gdzie ich niema jeszcze — zakładajcie nowe!

Wrogowi — szpony, Ojczyźnie — czołem!"

NAUKA i LITERATURA

RUCH WYDAWNICZY

Stosunek siły do prawa był i jest zagadnieniem bardzo żywotnem. Prawo jest siłą, ale siła nie jest prawem — tak powie każdy teoretyk, nawet sensowny obywatel. Ale żeby taka teza nie była tylko aforyzmem, ale znalazła się w podstawie poglądu na życie państwa, trzeba sięgnąć do podstawowych zagadnień bytu zbiorowego, do abstrakcyj pozornie bardzo odległych od życia. Potrzeba naukowego zanalizowania pojęć siły i prawa i odpowiedniego na użytek ogółu ich spopularyzowania.

Taki jest punkt wyjścia, zaznaczony w przedmowie, pracy prof. Romana Rybarskiego p. t. „Siła i prawo", która właśnie ukłazała się teraz na półkach księgarskich. Ciekawą tę książkę i bardzo ważną w systemie wykształcenio obywatelskiego, polecamy gorąco czytelnikom. Nabywać ją można w administracji „Myśli Narodowej" przy sposobności składanie prenumeraty (Ob. na końcu n-ru ogłoszenie).

Na pierwszy plan splotu tych zagadnień wysuwa się — według autora — sprawa stosunku jednostki do społeczeństwa, istoty życia społecznego i praw rządzących życiem społeczeństw. Nauka nie ma w tych sprawach formuł gotowych. Jest to przedmiot twórczości zbiorowej myśliciele różnych krajów. Prof. Rybarski wnosi do tej pracy swój wkład

indywidualny, za który bierze na siebie odpowiedzialność. „Ambicją autora"—czytamy w przedmowie — „nie jest sformułować jakiś powszechnie przyjęty program, gotową doktryną, lecz dostarczyć kierunkowi narodowemu nowego materjału myślowego".

Dzieło prof. Rybarskiego składa się z pięciu rozdziałów: 1) Podstawy życia społecznego, 2) Czynniki trwałości ustroju, 3) Przemiana siły w prawo, 4) Idea państwa monopolicznego, 5) Przesłanki ustroju państwa narodowego.

Tematy, jak widzimy, frapujące. Jasny wykład w połączeniu z naukowością metody sprawiają, że książkę tę można zalecić wszystkim, jako dzieło naukowe dla wszystkich, dzieło nadzwyczaj ciekawe i pożyteczne.

*

Nakładem księgarni św. Wojciecha w Poznaniu ukazała się dawno zapowiadana praca Kazimierza Marjana Morawskiego: „Źródło rozbioru Polski" (z licznemi ilustracjami, cena 10 zł.). O dziele tem, które w historjografji polskiej jest zdarzeniem wyjątkowej wagi, zamieścimy wkrótce obszerne sprawozdanie.

MUZYKA

FILHARMONJA. — Raz w roku około Wielkiejnocy urządza nam Filharmonja *festival* muzyki francuskiej. Wrażenie poprzedniego było bardzo silne. Nie skłamię, jeśli powiem, że nie zatarło się do dnia dzisiejszego. Ale bo też program był świetny. Przytem Casadesus. Casadesus grający Debussy'ego!

Tym razem było słabiej. Wprawdzie Jacques Thibaud pokazał klasę wspaniałą. Głęboki ton skrzypiec, nie nadużywanie techniki dla pokazu wirtuozyjnych błyskotek, niezrównane *pianissimo*, subtelność pociągnięcia smyczka — wszystko złożyło się na wcale okazały bukiet gorących pochwał, mimo, że koncert Saint-Saensa nie dawał pola do olśniewającego popisu, nawet w tym dobrym, nie spaczonym stylem estrady sensie.

Akompanjament prowadził młody dyrygent, kierownik opery poznańskiej Zygmunt Latoszewski. Zadatek to na dobrego kapelmistrza. Dziś może jeszcze trochę razi zbytnią poprawnością. Szczególnie, gdy ma pełną możność interpretacji.

W układaniu programu trzymano się tradycyjnej linji. Zaczęto od Couperina, skończono na Ravelu. Ravel ostatniemi czasy ma w Warszawie szczęście; słuchamy go często. Zda się, że objął monopol na najnowszą muzykę francuską, a tymczasem twórczość jego zaliczyć stanowczo musimy do okresu, który już reprezentuje typowe „wczoraj". Przyznać należy, że dobre „wczoraj", więc słuchane zawsze z dużą przyjemnością. Może dlatego, że — jak pisał Karol Szymanowski — „...na dnie jego artystycznej wrażliwości kryje się — i dla nas tak bliski i zarozumiały — głęboko ujęty, na rasowej świadomości kulturalnej mocno oparty tradycjonalizm". Kwestjonowałbym jednak ową głębię ujęcia.

„Alborada de Graciozo" nosi wszelkie cechy stylu, co to tak wybitnie przejawił się w walcu. Otrzymujemy przedziwne wrażenie jakiegoś niepokoju, opanowanego mistrzowstwem formy.

Koncert w stylu teatralnym, zrekonstruowany przez Alfreda Cortot, pochodzi z drugiej serji *„Concerts royaux"* opublikowanych w roku 1724-tym. Daje ona nam pełny smak epoki wczesnego rokoka, wprowadzając w atmosferę dworskiej sztuki, której doskonałym przykładem był wykwintny Couperin Legrand, jedno z pysznych wcieleń ducha francuskiego. W wykonanym w piątek koncercie, począwszy od Sarabandy poprzez arje *léger*, *tendre*, skończywszy na *air de Bacchantes*, czujemy smak teatru z całą jego ówczesną rozkoszną manierą.

Najmniej ciekawy i najmniej potrzebny był poemat symfoniczny Henryka Rabaud *„La procession nocturne"* napisany pod wpływem poematu Lenau'a „Faust". Programowa kompozycja, przeładowana treścią literacką, zalatywała na milę banałem. Poco zmuszać do słuchania tych, dzieł co reprezentują najbardziej jałowe koncepcje? Czy nie lepiej pokazać kompozytorów, którzy przyszli po nim i jemu podobnych, albo przed nim (z wyjątkiem okresu żydowskiej inwazji, tej co potrafiła z nazwiskami rozmaitych Meyerbeerów i Halevy'ch nachalnie rozłożyć na paryskim bruku tandetny sklepik „wyrobów" muzycznych). Wyjątek należy czynić jedynie dla Pawła Dukasa, mądrego, uczonego, walczącego z własną niemocą, człowieka co to początkowo śmiał się ze zbyt pochopnego lansowania młodych, by potem samemu przestać pisać w przeświadczeniu tragicznem, że się idzie jednak wciąż i wciąż o krok w tyle. Poemat *„La Péri"*, stanowiący tak cenną pozycję w dorobku francuskiej sztuki, jest bodajże ostatniem dziełem zmarłego niedawno artysty. Wsłuchując się w treść poematu i analizując formę, trudno sobie uprzytomnić, iż mamy do czynienia z rówieśnikiem Débussy'ego. Jak jednakże ta sama epoka może przejawić się w dwu odmiennych wyrazach! Coprawda bardziej dla niej charakterystycznym był twórca „Peleasa i Melisandy". Różnicę pogłębia bezsprzeczny fakt, iż Débussy siłą swego genjuszu wyprzedzał spółczesnych, podczas, gdy Dukas miał nieszczęście „reprezentować" tendencje schyłkowe.

SALA IM. KARŁOWICZA. Wieczór pieśni i duetów dał nam możność bliższego zapoznania się z głosem Julji Anuszowej. Julja Anuszowa posiada alt o silnem brzmieniu, ciepłym matowym tonie, wyrównanym dobrą szkołą. W *Canzona* Benedetta Marcello, a może jeszcze bardziej w „Nocy" Maksa Regera zarówno walory materjału głosowego jak i opanowanie partyj uwydatniły się chyba najbardziej — świadectwo wrodzonej muzykalności. Gorzej już z opanowaniem nerwów, co zresztą łatwo usprawiedliwić. Skojarzenie duetu z sopranem Czesławy Perenson nie było szczęśliwe. Raziły wyraźnie różne brzmienia głosów, niejednokrotnie zupełnie sobie obce a przeto nie stapiające się w zwartą całość.

Akompanjament Ignacego Rosenbauma (już prawie zawsze na każdym koncercie...) jak zwykle blady i bez wyrazu.

*

Pisanie recenzji z „Tannhäusera" Ryszarda Wagnera wydaje mi się zbędnym zachodem. Była to znowu typowa *Sonntags Premiere*, tyle, że okraszona jubileuszem Adama Dołżyckiego. Czekajmy drugie dwadzieścia pięć lat, a może się doczekamy następnego przedstawienia. Chyba, że się jednak do tego czasu wszystko zmieni. Mamy nadzieję.

W. NARUSZ

FILM

ROMA: *„Metropolitan"* reż. Bolesławski, film amerykański. Gdy się angażuje do filmu znakomitego śpiewaka, który pięknie śpiewa i drogo kosztuje, to oczywiście nie poto, żeby mu dać jakąś drobną rólkę. To też z góry wiadomo, że taki utwór to przedewszystkiem popis śpiewaka, a wszystko pozostałe jest dodatkiem i tłem dla tego popisu. Ponieważ jednak zlekceważenie tego dodatku mści się na filmie i utrudnia w znacznej mierze jego łatwostrawność, trzeba dbać, by strona wizualna i ruch równoważył w takich razach niebezpieczeństwo, wynikłe dla filmu, jako takiego, z naszpikowania go operowemi arjami.

Bolesławski stara się osiągnąć tę równowagę, pokazując nam operę od strony kulis, zawsze fotogenicznych i ruchliwych, wprowadzając w ten świat postacie muzyków Włochów, o komicznej, przesadnie żywej gestykulacji, demonstrując śpiewaka raczej na próbie, niż na przedstawieniu operowem. Dzięki temu słuchamy znakomitego Lavrence'a Tibbetta z zadowoleniem, nie doznając przytem przykrych wrażeń natury wzrokowej. Trudno się tylko pogodzić z nazbyt już chaotycznym, nawet jako pretekst, scenarjuszem. Mamy wrażenie, iż Bolesławski, Polak, musiał uledz w tym względzie wszechwładnym szablonom amerykańskim, które, czy trzeba czy nie trzeba, w każdym filmie umieszczają motyw *„y love you"*.

KANDYD

POKŁOSIE

KONSPIRACJA WEWNĘTRZNA

PRZEZ jakiś czas po wojnie szeroko rozbrzmiewało hasło „precz z tajną dyplomacją“. Interesy narodów miały być czyste i powinny być załatwiane jawnie, w obliczu wszystkich, nie zaś w cieniu gabinetów, siedlisk intryg i tajemnie knutych spisków jednych przeciwko drugim. Brzmiało i przebrzmiało, a rzeczy zostały po staremu, zaś w niektórych krajach dyplomację tak dokładnie zakonspirowano, że jej posunięcia stają się tajemniczą zagadką nietylko dla obcych, ale i dla swoich... Co więcej, metody konspiracyjne owładnęły i polityką wewnętrzną.

Obywatel, interesujący się losem kraju i czytający prasę polityczną, dowiaduje się co rusz o jakichś walkach i rozgrywkach, o sporach rozmaitych „grup”, nic jednak nie wie, kto właściwie i o co z sobą walczy, co reprezentują i do czego dążą owe „grupy“. Dawniej, za czasów partyjnictwa, było znacznie więcej jasności w stosunkach. Walka o wpływy w społeczeństwie zaczynała się w sposób normalny i zrozumiały od wytworzenia jakiegoś prądu umysłowego, jakiejś ideologji, i po obronieniu jej w ogniu publicznej krytyki dane stronnictwo mogło myśleć o pozyskaniu przeważającej opinji i dojściu do możliwości urzeczywistniania swego programu. Dziś, jak się okazuje, jest to zgoła zbyteczne. Należy tylko stworzyć grupę, która potrafi obsadzić swoimi ludźmi pewne ważne pozycje. To wystarczy. Niema potrzeby legitymowania się pozatem jakiemiś programami, czy nawet nazwiskami. Opinja, społeczeństwo zostało, jako bierny objekt, wyeliminowane z rachub.

Jeden z organów sanacyjnych, „Jutro Pracy“, reprezentujący związki zawodowe pracowników umysłowych, pisze o ujawniającej ostatnio wzmożoną działalność grupie t. zw. „naprawiaczy“ co następuje:

„Działają w Polsce jakieś grupy z ukrycia: Niektóre z nich widać jak na dłoni. Idą zwartym szykiem, w sposób bezwzględny usuwają sobie z drogi wszelkie przeszkody, niosą przed sobą rozwinięty sztandar, na którym z jednej strony widzimy litanję popularnych haseł, a z drugiej grubemi literami wyszyty napis: „interes grupy“... Naprawiacze—naprawiacze — naprawiacze. Wszędzie głośno na ten temat, tu obawiają się tej szarańczy, tam czekają na nich, jak na zbawców, tam ostrzegają, gdzieś na uboczu ściszają głos, ktoś się poprostu boi — „ostrożnie, zniszczą mnie“.

„Zamaskowani panowie rozstawili się dobrze, wszędzie są. Od młodzieży do starców. Od lewicy radykalnej do grubej przemysłowej burżuazji. Jedni zamaskowani organizują akcję strajkową, a drudzy siedzą w dyrektorskich gabinetach i dumają — o czem? Wspólny sztandar wiele wyjaśni i pomoże — wszak na jednej stronie jest napis „interes grupy”... W sejmie i senacie ruch. Biegają, instruują, wydają polecenia, solidarnie głosują, a najzabawniejsze to, że przypuszczają, że są niewidoczni. Dla pozoru zakładają wciąż inne maski”.

Takiemi oto drogami ukrytych zabiegów i konspiracji nikomu nieznanych anonimów toczy się walka polityczna, spór o wpływy i władzę.

Obraz ten skreślił organ sanacyjny, a więc źródło niepodejrzane. A dzieje się to w czasie pełnym niepokoju o bliską przyszłość, kiedy naród może być powołany do największego wysiłku i ofiar na rzecz tej przyszłości. W czasie, kiedy organ wojskowy „Polska zbrojna” przypomina, że: „Sztaby mocarstw świata dobrze umieją liczyć i ważyć. Nietylko duch, wyszkolenie i zaopatrzenie wojska bywa tam szacowane. Szacowany jest również stopień spoistości i solidarności społeczeństw. Szacowane jest napięcie ich woli w pracy pokojowej. Jej wydatność i możliwości. Zarówno nasi przyjaciele, jak też i nasi wrogowie rozumują słusznie, że im większa jest spoistość społeczeństwa w czasie pokoju, tem wyższa będzie miara jego spoistości w czasie wojny, że z drugiej strony naród, który w pokoju pracuje niedołężnie, nie da sobie tembardziej rady z wymagającemi podwójnego wysiłku pracy zadaniami wojny“.

Jakże jednak pogodzić te słuszne wymagania wzmożenia spoistości i sprawności narodu z metodami rządzenia narodem bez niego, z konspiracją, wysuwającą na czoło raz te, to znów inne osobistości, ale zawsze opierające się na nieznanych wpływach, nie zaś na zaufaniu społeczeństwa? Czy możliwe jest, żeby to społeczeństwo, traktowane jako bierny objekt, prowadzone przez ludzi w maskach w nieznanym sobie kierunku, wydało z siebie *maximum* tego, na co je stać? Czy rzeczywiście tak trudno zrozumieć, że te dwie rzeczy są nie do pogodzenia?

ARGUS

NA MARGINESIE

Pan Drobnik z „Awangardy“ okazał niezadowolenie z uwag naszych, zamieszczonych „Na widowni” (nr. 8), o jego artykule „*Imponderabilia*“. Odpowiada w ten sposób:

1) „Polemika [„Myśli Narodowej“] jest niestety utrzymana w takim tonie i na tyle nielojalnie w stosunku do toku myśli artykułu, że nie pozwala na podjęcie dyskusji“.

2) „Walka z temi metodami jest jednem z najważniejszych zadań, które będą musieli przeprowadzić publicyści w Polsce“.

Załamała się logika, a ona jest najważniejszym orężem w ręku publicysty, pragnącego zniewolić świat dla swego programu ideowego. Jeśli walka jest konieczna, toć właśnie była okazja. Złamała się szpada!

Czemu się złamała? Bo nie hartowana w ogniu idei. Jeżeli ktoś długo gada i pisze tylko w chęci przypodobania się czynnikom miarodajnym, bez liczenia się z opinją publiczną, którą poczytując za niemiarodajną, to w końcu zaufawszy bezkarności tak się zakłamie, że znaleść się musi poza logiką, i przy pierwszem złożeniu broni, staje bezbronny.

Nr. 13 „Myśli Narodowej“ nie doszedł do rąk wszystkich czytelników, ponieważ z polecenia Komisarjatu Rządu m. Warszawy zajęty został na poczcie i w biurach „Ruchu”.

Pan Komisarz Rządu m. st. Warszawy powiadomił o tem redakcję 27 b. m. pismem następującem:

„Upatrując w treści art. p. t. „Sprawę uboju rytualnego Sejm uchylił w redakcji rządowej“ od sł. „Najbardziej charakterystyczne było“ do końca i art. p. t. „Na marginesie“ od sł. „Nowe drogi“ do końca, zamieszczonych w czasopiśmie „Myśl Narodowa“ Nr. 13 z dnia 29.III. 1936 r. cechy przestępstwa w art. 170 K. K. przewidzianego na zasadzie art. 27 dekretu z dnia 7.II. 1919 r. w w przedmiocie tymczasowych przepisów prasowych (Dz. Pr. 1919 Nr. 14, poz. 186) obłożyłem aresztem w dniu 26 marca r. b. wyżej wymienione czasopismo przy równoczesnem skierowaniu sprawy do Pana Prokuratora Sądu Okręgowego w Warszawie”. — (Podpis nieczytelny).

Oba inkryminowane ustępy były przedrukiem: pierwszy z djarjusza sejmowego, drugi z czasopisma „Nowe Drogi”.

Zarządzony niezwłocznie nowy nakład (nr. 14), rozesłaliśmy w piątek wieczorem. Zawiadamiamy o tem Czytelników, aby się wytłumaczyć z przykrości im sprawionej przez opóźnienie numeru.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**.
Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.